

W. HALICKI — O suwerenność Włoch, o pokój; W. JAŹDZYŃSKI — „Kompleks zapłocia” pryska;
K. KRAWCZYK — W radzieckiej szkole i naszej; W. PALIK — Widzowie kin wiejskich;
F. ZAWADA — „Zielona puła”; A. WITKOWSKA — „Nasze lato”;
T. ORLEWICZ — Za kręgiem polarnym; W. BILLIP — O „Powrocie” Wacława Rzeźca;
Z. JASKIEWICZ — Opowieść o Wacławie Kaluży; P. GUZY — U mistrza urodzaju.
E. POCHRON — Organizator czytelnictwa.

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 7 czerwca 1953 r.

Nr 23 (4 9)

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

OTWIERAJĄC NARADĘ*)

PIERWSZA Ogólnopolska Narada Kierowników Przemysłowych Świłtic Wiejskich i Powiatowych Domów Kultury stanowiąc główny akcent tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy zamyka wstępny okres naszej działalności, okres realizacji uchwały Prezydium Rządu z dnia 1 marca 1952 roku.

Zadanie postawione wówczas przed nami — otwarcia pierwszego tysiąca gminnych świłtic wzorcowych zostało w terminie do dnia 1 stycznia 1953 roku wykonane. Wykonane zostało również drugie zadanie — otwarcie 25 powiatowych Domów Kultury w pionie rad narodowych jako ośrodków instruktoryjno — metodycznych w stosunku do świłtic wiejskich.

Okres od dnia 1 stycznia 1953 roku był okresem umacniania konkretnej pracy otwartych już świłtic, okresem analizy doświadczeń, błędów i osiągnięć, okresem przygotowania się do dalszego marszu naprzód — ilościowego i jakościowego rozwoju świłtic wiejskich i powiatowych Domów Kultury.

Na obecnej naradzie musimy więc odpowiedzieć sobie w pierwszym rzędzie na pytanie: jak wyglądała w konkretnym wykonaniu realizacja uchwały Prezydium Rządu i jaki jest realny bilans naszych osiągnięć i błędów? W jakim stopniu potrafiliśmy te błędy w ciągu dalszej naszej pracy przewyżyć? I wreszcie — na ile jesteśmy przygotowani do następnego jakościowego i ilościowego rozwoju.

Do praktycznej realizacji uchwały przystąpiliśmy rok temu, to jest dopiero w kwietniu — maju 1952 roku. Nie znaczy to jednak, że przed tym terminem świłtic w gminach nie było. Przeciwnie. Przychodziliśmy na teren częściowo już przeorany rewolucją kulturalną, na teren, w którym działały świłtlice Samopomocy Chłopskiej, setki zespołów, tysiące zahartowanych w walkach o nowe kulturalne i polityczne oblicze wsi polskiej aktywistów i działaczy społecznych. Zadaniem naszym było więc nie rozpoczynać pracy od podstaw, lecz w oparciu o już istniejącą formę, osiągnięcia i działający aktyw, powiązać świłtlice gminne z pionem Rad Narodowych, uczynić z nich ośrodki oddziaływania na świłtlice gromadzkie, świłtlice spółdzielni produkcyjnych, świłtlice POM-owskie i PGR-owskie, umocnić je kierownikiem etatowym i bibliotekarzem, pomocą fachową ośrodków metodycznych domów powiatowych, realnym wyposażeniem i realną pomocą fachową, finansową i metodyczną zarządów świłtic i Domów Kultury Ministerstwa Kultury i Sztuki.

„Pierwszym naszym poważnym błędem — i z tego musimy zdać sobie dziś sprawę — w realizowaniu uchwały z dnia 1 marca 1952 roku było niedostateczne zrozumienie tej oczywistej prawdy, że działalność nasza jest kolejną fazą rewolucji kulturalnej na wsi, która rozpoczęła się w latach 1944—1945, a nie pracą od podstaw. W tych warunkach hałaśliwe otwarcie dawno już otwartych świłtic dawało niejednokrotnie w efekcie nie tylko osłabienie pracy, lecz odrzucało dotychczasowy aktyw kulturalny od świłtic, osamotniało świłtlice, stawiało jej kierownika w trudnej sytuacji odrabiania niefortunnego efektu „otwarcia” w codziennym wysiłku zdobywania ponownego zaufania mieszkańców gromady i gminy, aktywu kulturalnego danej wsi.

Niedostateczne uświadomienie sobie zasady ustawiania naszej akcji jako organizacyjnej i metodycznej pomocy Państwa dla aktywu społecznego wsi, jego pracy kulturalno — oświatowej spychało ją w niejednym wypadku na biurokratyczne tory pogoni za ilością, za efektem formalnym, za statystycznymi danymi, co nie zawsze i nie wszędzie odzwierciedlało prawdziwe życie realnej świłtlicy.

Nie zawsze również racjonalny teren kierownik świłtlicy, otoczony został przez nas należytą opieką, instrukcją, fachową pomocą na czas i realizacją budżetu przyznanego świłtlicy na mocy uchwały Rządu. Przejżdżający w teren instruktorzy i inspektorzy Centrali jakże często ograniczali swoje funkcje do stwierdzenia takiego czy

innego stanu rzeczy, pokiwania głowami, pisania danych, czasem rzucenia tej lub innej obietnicy pomocy, która n.gdy nie zostawa zrealizowana lub tylko częściowo zrealizowana.

I nie zawsze również i nie od razu przydyła wojewodzkich, powiatowych i gminnych RN dojrzały w pracy KO zasadnicze swoje ogniwo w pracy nad wychowaniem nowego człowieka, nie zawsze potrafili współdziałać z pomocą, a tym samym poprzeć ją autorytetem Rady Narodowej. Często natomiast — długo jeszcze po uchwaleniu uchwały Prezydium Rządu — ignorowały znaczenie naszej pracy, zamykając już otwarte świłtlice, zamieniając je z powrotem na składy, nie rozumiejąc ich doniosłej roli w wielkich akcjach politycznych kraju.

Nie zawsze również i aktywu społeczny Zw. Zaw. i Samopomocy Chłopskiej doceniał istotę Uchwały Rządu odwracając się od świłtic gminnych, jako już świłtic „nie-swoich”, traktując często konkurencyjnie wielki wysiłek państwa i poszczególnych Rad Narodowych oraz przysyłanych na wies kierowników świłtic gminnych.

Czy uświadomienie sobie tych błędów w czymkolwiek osłabia wielkość dokonanego wysiłku ze strony Państwa? Wydaje mi się, że nie, że nie osłabia, lecz, przeciwnie, wzmacnia.

„Sądę, że możemy o sobie powiedzieć, że barometr naszej pracy drgnął na pogodę. Za wcześnie mówić jeszcze o przełomie, o skoku jakościowym, lecz że drgnął na pogodę, na poprawę, to fakt.

Jeżeli bowiem w grudniu było w Kieleckiem 6 świłtic wzorcowych, a obecnie jest ich 19 — to znaczy, maszerujemy naprzód. Jeżeli w Lubelskiem było ich 8, a teraz 14 — to znaczy, że idziemy naprzód. Jeżeli w Rzeszowskiem było ich 8, a dziś 30, to oznacza nowe, istotne zwycięstwo. Jeżeli od grudnia do maja liczba dobrze pracujących świłtic wzrosła z dotychczasowych 40 do 70, to barometr drgnął na pogodę, i to jest kierunkowa naszej oceny i naszych zadań.

Poprawa zaczęła się w okresie wyborów. I to nie jest sprawa przypadku. Wielka mobilizacja narodowa wokół Programu Frontu Narodowego, wokół zadań postawionych przez Partię, przez tow. Bolesława Bierutę, postawiła i świłtlice wobec konkretnych zadań, wobec konkretnych zadań walki o nowe socjalistyczne oblicze Polski Ludowej — nie tylko samym faktem swojego istnienia, lecz i treścią swojego życia — życia zespołów, bibliotek, młodzieży. Konieczność powiązania słowa mówionego z emocjonalnym „przeżyciem” obrazu artystycznego, sztuki, muzyki, tańca, wiersza, pieśni, ujawniła wielką potrzebę kulturalnego życia szerokiej mas pracującego chłopstwa. Prawda ta stała się podczas akcji wyborczej tak oczywista, że wszyscy przed nią musieli uchylić czoła — świłtlice podczas wyborów stały się ośrodkami walki i nosicielami nowej kultury. Terenem starcia z wrogiem klasowym, z kłamstwem, plotką, wrogią propagandą, którą przewyżczano przy pomocy nauki, wiedzy, oświaty, kultury i sztuki, przy pomocy żywego, nowego aktywu młodzieżowego, przy pomocy nowej inteligencji wsi polskiej.

„Jednak głęboki zwrot na lepsze zaczął się właściwie dopiero w lutym, w marcu 1953 roku.

Dlaczego ten zwrot się dokonał? 1) dlatego, że zahartowała się główna kadra świłticowa, pokiwała swą pracą, ludzi i wytrwała na swoim posterunku. A jak raz wytrwała, to zaczęła z kolei zdobywać nowy teren. Gromadę po gromadzie.

2) dlatego, że Pierwszy Zjazd Spółdzielczości Produkcyjnej a zwłaszcza przemówienie tow. Bieruta otworzyło szerokie perspektywy dla socjalistycznego rozwoju wsi polskiej i pracy KO.

3) dlatego, że wasza praca stała się przedmiotem troski znacznej części Rad Narodowych i Samopomocy Chłopskiej i że drgnęły i ruszyły naprzód niektóre Wydziały Kultury i Powiatowe Domy Kultury.

4) dlatego, że na zdobycie terenu wsi polskiej ruszył cały resort, udoskonalili się metody pracy zarządów świłtic i Domów Kultury, a tym samym zaczął rosnąć nowy aktyw centralny i terenowy.

5) dlatego — i to jest najważniejsze, — że zaczęła się normalna i twórcza współpraca z aktywem (Dokończenie na str. 7)



ROZA KRÓLOWA
Woj. warszawskie, pow. Sokółów, Podlaski, gromada Nowa Wieś



WINCENTY KRZYSZTOFIK
Woj. Wrocław, pow. Złotoryja, gm. Wysocko



EMILIA BĘDZIŃSKA
Woj. Bydgoszcz, gromada Olszewska, poczta Nakło



LEON MACHOLA
Woj. Gdańsk, gm. Przywidz



BOGUMILA RYNGWELSKA
Woj. Bydgoszcz, pow. Chojnice, gromada Lubnia

RYŚ. K. LATALLO



na zjeździe Kierowników Przemysłowych Świłtic

Polityczny cel..

Przeanalizowaliśmy się, że przez każdy zespół można osiągnąć pewien cel polityczny. Dla przykładu, kiedy miała się odbywać lekcja chóru zespół nuciący sobie piosenkę „Nie chodź Marysiu do lasa” szedł do świłtlicy. Uczyli mnie słowa, o tam jest mowa o gajowym i o kiju gajowym i przypomniała mi się powieść Wandy Wasilewskiej „Ziemia w jarzmie” i te urywki, kiedy jest mowa o gajowym, który uśmiercił chłopca. Ki dy zespół nucił piosenkę, przyniosłem tę powieść i wykorzystałem ten moment, żeby naswietlić rolę dawnych gajowych, którzy byli na usługach dziedziców i obszarników. Naturalnie, że już lekcji chóru w tym dniu nie było, ponieważ zespół bardzo zainteresował się tym urywkiem i w gruncie rzeczy całą powieść przeczytałem. W ten sposób czytelnictwo mocno się rozwija.

Istnieje u nas od 1949 r. spółdzielnia produkcyjna. Wśród indywidualnych chłopów było wielu opornych, wielu było wahających się średnio i matorolnych, a wśród nich był jeden matorolny szczególnie nieprzychylnie ustosunkowany do spółdzielczości produkcyjnej, który sam wahał się i wstrzymywał swoich trzech braci i sąsiada. Kiedy wystawiliśmy sztukę „Zaprząć konia” i wspólnie na zebraniu dyskutowaliśmy nad obsadzeniem tej sztuki, zespół zdecydował, żeby temu wahającemu się chłopu oddać rolę w sztuce gospodarza, który nie może podjąć decyzji. Sztukę wystawiliśmy kilkakrotnie, a ów wahający się chłop grając tę rolę zdecydował się i wstąpił do spółdzielni produkcyjnej pociągając za sobą trzech braci i wielu sąsiadów.

STANISŁAW JOZWENKO
woj. Zielona Góra, pow. Wschowa, gm. Siedlnica

Oklaskują spółdzielnię

Jestem członkiem spółdzielni produkcyjnej; moja wada jest to, że zawsze mnie język swędzi, aby o swojej spółdzielni powiedzieć, bo jak o niej nie mówię — to czuję się tak, jakbym nie wykonał swego zadania.

Świłtlica nasza powstała w 1951 roku. Początkowo zdobyłem 16 osób z młodzieży, która oparła się różnym plotkom i podszeptom wroga i przyszła do świłtlicy — gdzie razem z mną zaczęła organizować życie kulturalne. Obecnie mamy żywotne trzy sekcje: sportową (96 osób), choralną (26) i małą kapelę — chor występują łącznie z kapelą z pieśniami ludowymi.

Sekcja sportowa wyjeżdża w teren i do innych województw, gdzie występuje również jako zespół świłtlicowy. Zawiadomiamy o tym na plakatach, dojeżdżając do takich zakątków, gdzie najmniej było założonych spółdzielni produkcyjnych w tym roku — np. w Kieleckiem, Opoczyńskiem i Radomskiem. Te zespoły robią wielką propagandę na rzecz spółdzielczości produkcyjnej.

Na ostatnim występie w Rawie Mazowieckiej na festiwalu powiatowym na 38 zespołów — spółdzielnia produkcyjna wzięła pierwsze miejsce. Ucieszyło mnie to bardzo, kiedy obecni po zakończeniu naszego repertuaru (nie mówię — że po każdym występie) dali wielkie brawa i kiedyśmy bisowali — skądowaliśmy: spółdzielnia, spółdzielnia! To było dla mnie jako spółdzielcy wielką otuchą, że naród w Polsce przekonał się o słuszności tej drogi i oklaskuje SPOŁDZIELNIĘ.

Jednak w tej pracy mam wielkie trudności, ponieważ z zawodu jestem piekarzem, nie mam żadnego przygotowania. Sam tworzę melodię, sam piszę nuty, sam prowadzę chór i orkiestrę. Dziwne to, że piekarz układa piosenki i pisze nuty. Miłbym więc prośbę pod adresem Ministerstwa Kultury i Sztuki, którą zgłaszam w imieniu całego naszego terenu — aby nam przysłał jakiegos instruktora, który by potrafił chociażby przez miesiąc nauczyć naszą orkiestrę i chór nowych rzeczy.

MARIAN GUMOWSKI
woj. łódzkie, pow. Rawa Maz., gm. Nowa Wieś

Wieczornice świłticowe

Kiedy był odczyt „Nedza chłopów w Polsce przedwojennej”, a obecne położenie w Polsce Ludowej — jaki miał oddźwięk? Wszyscy posłuchali i jakby groch o ścianę rzucili, zaczęli chylić się do świłtic wychodzić, bo takie suche, papierowe słowa, rzucane bez serca nie znajdują oddźwięku. Szczególnie na wsi trzeba mówić z uczuciem, musi to płynąć z serca do serca, żeby chłop zrozumiał, o co chodzi. Jak my to zrobiliśmy? Zaczęliśmy naszą wieczornicę na ten właśnie temat śpiewem Marii Konopnickiej „A czemuż wy chłodne rosy padacie...”, a potem deklamowano szereg wierszy. Następnie, jakby w przeciwstawieniu do tego cały zespół wmaszerował z piosenką „Zdobyczym krokiem”. Można sobie wyobrazić, jak ludzie to zrozumieli. Każdy wziął do serca i przypomniał sobie położenie, jakie miał przed wojną i ocenił, jak ma teraz w Polsce naszej Ludowej.

Wieczornice poświęconą skupowi zboża zrobiłam w ten sposób, że dla każdego poszczególnego chłopca,

który się wywiązał ze swego obowiązku, zespół wykonał czy duet, czy solo, czy akordeonista — bo i takiego mamy w świłtlicy — coś zagrał. A dla chłopca, który się nie wywiązał i co do którego wiadomo było z gminnej rady narodowej, że może się wywiązać, zagraliśmy skoczny marsz, aby się pospieszył. Jaki był skutek? Idę na drugi dzień przez wieś, patrzę, a chłop siedzi na furze naladowanej workami i mówi: „Jakoście mi zagrali marsza, to jada...”

MARIA LEWIŃSKA
woj. Bydgoszcz, pow. Brodnica, gm. Pokrzydowo, Spółdz. Produkcyjna

Obrastać w aktyw!

Mówimy ciągle o obrastaniu w aktyw kulturalno-oświatowy. Ale nie powiedziane było, jak to wygląda w rzeczywistości. Czyśmy wychowali ten aktyw, czy wciągnęliśmy go do pracy?

Na podstawie mego długoletniego doświadczenia, nie uważam takiego kierownika świłtlicy za dobrego, który skupia wszystko w swoim ręku niepodzielnie, nie dbając o to, żeby wprowadzić ludzi na kierownicze stanowiska, żeby przygotować zespół.

Trudno nam czekać na nowe kadry, bezowocne są nasze apele, abyśmy otrzymali „od góry” kadry wykształconych, wyrobionych ludzi na dyrygentów, na taneczników, na nauczycieli pięknego czytania. Świłtlica jest tym warsztatem pracy, który musi ich wychować. Zmieniałem czterokrotnie miejsce jako kierownik świłtlicy i zawsze z największą troską starałem się dowiedzieć, czy świłtlice moje pracują. Tak, pracują. Najmilsza jest dla mnie świadomość, że świłtlica, z której wyszedłem przed czterema laty, jest czynna, jest żywotna i że spotykam się z nią na festiwalach, że mnie to popycha do szlachetnej rywalizacji ze swoimi byłymi uczniami.

Powszechny jest brak dyrygentów chórow. Tu i ówdzie zespoły świłticowe chórálne nie istnieją, bo nie ma dyrygenta. Ale muzyków macie? Mamy. Orkiestra jest, kapela jest? Grono ludzi znających nuty też jest. Dlaczego z tego grona ludzi, znających nuty, władających jakimś instrumentem, nie wyrósł dyrygent?

Dlatego mając kapelę wydzieliłem w swoim zespole śpiewaczkę paru wybitniejszych, którzy mają dobre opanowaną technikę gry na instrumencie i powierzam im stopniowo nauczanie partii głosowych. Dyryguje ją, a następnie mówię: „Wy kolego teraz poprowadzicie”. Rezultat jest taki, że mogą mnie podrobić służbowo oderwać od warsztatu pracy (bo jestem społecznym kierownikiem świłtlicy) na okres trzech, czy czterech tygodni a próby idą, wszystko odbywa się tak, jak przy mojej obecności.

Unikamy w ten sposób jednocześnie krytycznego momentu w naszej pracy świłticowej, mianowicie zmiany człowieka. Ten moment jest zwykle groźny. Kiedy przychodzi inny człowiek — dopóki nie chwyci za serce, dopóki nie przekona o swoich walorach, musimy walczyć z wrogim nastawieniem. Kiedy przygotowujemy sobie kadry, kiedy zastępuję mnie stopniowo inny, unikam tego krytycznego momentu. A przecież musimy wznosić się na coraz wyższy poziom, nie zamykać ciągle od nowa.

STANISŁAW WIŚNIEWSKI
woj. Białystok, pow. Bielski Podlaski, gm. Białowieża

Rodzimy nowe życie

M w naszej świłtlicy, kiedy nam przyszła z pomocą Gmina Rada Narodowa i Partia — zawiązaliśmy zespół 12-osobowy. Zmontowaliśmy montaż słowno — muzyczny, złożony z pieśni, tańca i recytacji. Od września do dnia dzisiejszego stworzyliśmy trzy montaż słowno — muzyczne, z którymi objechaliśmy cały powiat. W akcji wyborczej opracowaliśmy sylwetki kandydatów na posłów. W akcji siennej wyjeżdżaliśmy trzy razy i nie jest przypadkiem, że nasza gmina pierwsza w powiecie ukończyła siewy, a powiat pierwszy w województwie.

Jako przykład chciałem podać, jak nasza brigada włączyła się do pracy w gromadzie Gumkowej. Kiedy kilka miesięcy temu zjechaliśmy po raz pierwszy, sala była dosłownie pusta. Później w czasie przedstawienia zaczęła napływać większa ilość kobiet z dziećmi i młodzieżą, pod koniec naszego występu sala była pełna. Przerwaliliśmy występ i daliśmy odczyt o spółdzielczości produkcyjnej. Po twarzeniu znowu przyjechaliśmy. Wtedy sala była pełna. Daliśmy znowu montaż słowno — muzyczny i omówiliśmy zagadnienie spółdzielni produkcyjnej. Byliśmy tam jeszcze kilkakrotnie, znowu sala była pełna, przychodziło dużo kobiet, które normalnie trudno byłościągnąć na zebrania i odczyty.

I oto teraz dnia 25 maja zgłosił się do nas soltys, żeby zaprosił nas na otwarcie spółdzielni produkcyjnej w Gumkowej. Nie chcę przez to powiedzieć, że to właśnie nasza świłtlica powoduje powstawanie nowych spółdzielni produkcyjnych, ale stwierdzam z całą stanowczością, że przyczynia się ona w znacznej mierze do przyspieszenia ich zakładania.

TADEUSZ SUCHOROWSKI
woj. Wrocław, pow. Milicz, gm. Sulów

*) Przemówienie min. Wł. Sokorskiego (w obszernych fragmentach) wygłoszone na otwarciu Narady Kierowników Przemysłowych Świłtic Wiejskich i Powiatowych Domów Kultury w dn. 27 maja br.

ALINA WITKOWSKA

„NASZE LATO“

Numer „Literatury Radzieckiej“ zapoznał nas z debiutem powieściowym Heleny Uspieńskiej pt. „Nasze lato“. Uspieńska woda biologiem, literatura stanowiąca do tej pory sferę jej nie-amatorskich zainteresowań, poglębionych być może przez literacką tradycję rodziny, którą uświetniło nazwisko wybitnego dziewiętnastowiecznego pisarza - demokracji Gleba Uspieńskiego. Powieść należy do udanych debiutów, wyróżnia się dojrzałością artystyczną, żarliwością i odwagą problematyki ideowej. W Związku Radzieckim była jedną z tych książek, które wywołały dyskusje, spory, listy, ferment w umysłach czytelników. I na naszym gruncie powieść Uspieńskiej spotkała się z dużym zainteresowaniem, z życzliwym przyjęciem, chociaż w prywatnych, nie publikowanych dyskusjach może zbyt często figuruje z etykiety książki o studentach. W określeniu tym oczywiście jest cień prawdy, istotnie bohaterem „Naszego lata“ jest grupa studentów II roku biologii Uniwersytetu Moskiewskiego, ale sens ideowy powieści, postać człowieka bohatera utworu, prof. Łopatina, wykracza daleko poza ramy studenckiego życia, porusza centralne problemy walki ideowej w biologii. Powieść Uspieńskiej bliższa jest klimatowi takich utworów jak „Obcy cień“ Simonowa czy „Sąd honorowy“, wprowadzających zagadnienie walki postaw ideowych w nauce, godności i uczciwości uczonego, niż powieści „Studentom“ Trifonowa. Mówiąc o „Naszym lecie“ jako o powieści z życia studentów niesłusznie przeuważa się proporcje ideowe i tematyczne utworu, przesadnie eksponując te strony powieści, które nie należą do najlepszych i najmocniejszych. Rozpatrywany w tych kategoriach utwór razi niekiedy szkodliwą postać studentów, brakiem szerszego kontekstu ich życia i myśli, mało rozbudowanym portretem psychologicznym, zagubieniem specyfiki obyczajowej. Chociaż i tutaj pisarka zdradza czuły nerw bystrogo obserwatora, umie w postaci Nikity i Warii stworzyć zindywidualizowane, odmienne, niezwykle ujmujące sylwety studentów mających wszelkie dane na to, aby stać się jednymi z najbardziej udanych bohaterów pozytywnych radzieckiej literatury młodzieżowej. Trzeba dodać, że „Nasze lato“ w zakresie tzw. problematyki młodzieżowej — mimo iż nie tu leży główny walor utworu — podejmuje kilka niezmiernie ważkich problemów, które podnoszą wychowawczy, aktualny sens utworu, w pewnej mierze decydują o popularności powieści Uspieńskiej wśród młodzieży. Najciekawszy z nich związany jest z postacią Alły Irtyzowej. Rzyknąć pewne uproszczenia konfliktu można by go określić jako problem tzw. kapitalistycznych obciążeń świadomości, spotykany w pewnych kręgach młodzieży radzieckiej. Zjawiska tego pokroju znajdowały już odbicie w literaturze, ukazywane były w powieści Trifonowa „Studentów“ Lepa i Alła Irtyzowa to reprezentantki tego pokolenia młodzieży, któremu życie pokazało swoje radosne, pogodne oblicze. Ojcowie ginęli w więzieniach caratu, bili się w dniach Października, krwawili na polach wojny domowej, budowali republikę radziecką. Dzieci zastały już nowe życie, wolne od trosk tamtych trudnych dni, radosne, przychylne w stosunku do człowieka. Ten niesłychanie łatwy start życiowy młodzieży spowodował demoralizację pewnych jej kręgów, rozbudził skłonność do wygodnictwa życiowego, do unikania konfliktów, co w konsekwencji przyczyniło się do rozwoju pewnych drobnomieszczańskich ideałów życiowych. Sedno zagadnienia jak zawsze tkwi w ideologii, w powierzchownym stosunku do życia, w braku komunistycznej bojowości i hartu. W to niebezpieczne zjawisko uderza celnie powieść Uspieńskiej poprzez konstrukcję ideową postaci Alły, poprzez wnikliwe postawienie problemu wychowania w rodzinie.

Z ogromnego, rewolucyjnego przewrotu jaki dokonał się w życiu zwykłego człowieka radzieckiego matka Alły zrozumiała tyle, ile ogarnia ciasny horyzont drobnomieszczaństwa. Alła dystansując matkę pod względem wykształcenia, ideologicznie pozostała w jej ciasnym, wygodnym kręgu zainteresowań nowymi kanapami i strojami, w kręgu ograniczonych ideałów życiowych kulturalnego sabyrty. Jeden rys w portrecie Alły razi jednak, uderza fałszem w słuszną i artystycznie trafnej koncepcji postaci — zupełnie bierna akceptacja postawy Alły przez otaczającą ją ludźmi, przez kolekcję studentki, profesorów, przez ojca komunistę. Wstyd doprawdy, aby tak poważny chłopak jak Nikita, wczoraj jeszcze bez pamięci zakochany w Irtyzowej, jutro spokojnie od niej odszedł zostawiając dziewczynę z całym, znanym mu, bagażem jej braków ideowych. Wolno mu przestać kochać, ale nie można mieć spokojnie szkodliwego społecznie zjawiska. Profesor Łopatina marszczy brwi na widok wysoki obcasów Alły, ale jako wychowawca młodzieży nie próbuje przeciwdziałać nawet wyraźnemu bumelanctwu dziewczyny. Ojciec, wybitny konstruktor radziecki, komunista, skonstatował fakt, machnął ręką i swoje zainteresowania przeniósł na teren fabryki. Milczy także organizacja komsomolska. W rezultacie książka może nasuwać myślnie sugestię jakoby społeczeństwu radzieckiemu wiaściwa była bierna, kontemplacyjna postawa wobec przeżytków światopoglądowych w ideologii ludzi radzieckich.

W klimat gotującej walki ideowej wprowadza nas natomiast główny punkt powieści skoncentrowany wokół „sporu o Łysenkę“. Nie wiele dałoby się przytoczyć przykładów utworów literackich, które umiały w tej mierze co Uspieńska fachowo problemy dyskusji naukowej przekazać w postaci konfliktów powieściowych poprzez losy, myśli i przeżycia bohaterów. Pisarka odkryła za sformułowaniami naukowymi konkretnych ludzi i postawy ideologiczne, nie gubiąc nic z naukowej wartości opisywanych problemów.

Powieść Uspieńskiej pokazuje wycinek końcowego już etapu walki między morganistami a zwolennikami teorii Łysenki. Autorka słusznie odsłania polityczne i filozoficzne zaplecze sporu, pokazuje, że był on w istocie bitwą o charakter i funkcję nauki w społeczeństwie budującym komunizm. Zwolennicy Łysenki występowali w tym sporze nie tylko jako demaskatorzy niesłusznych tez naukowych, ale przede wszystkim jako przedstawiciele nauki twórczej, rewolucyjnej, nauki służącej człowiekowi, dającej nauki potężną broń w walce o jak najszybsze zbudowanie komunizmu.

Spór o Łysenkę był więc sporem ideologicznym i politycznym. Wzięli w nim udział profesorowie i katedry uniwersyteckie, studenci, agronomowie i kolchoźnicy, cały naród radziecki. Praktyka codziennego życia kolchoźników, którzy walcząc o wyższe plony stosowali łysenkowski metody hodowli roślin, rozstrzygnęła spór na korzyść wielkiego uczonego - nowatora na długo przed pamiętną sesją Wszechniowskiej Akademii Nauk Rolniczych im. Lenina.

„Nasze lato“, umiejętnie pokazując ten układ sił w wielkim sporze, ale nie ułatwia sztucznie zwycięstwa, pokazuje opór przeciwnika, który potrafił okopać się mocno na wydziałach biologii wyższych uczelni. Na Uniwersytecie Moskiewskim Łysenko długo figurował w spisie nazwisk zakazanych. Ze zwolennikami wielkiego uczonego - praktyka rozprawiano się szybko metodami, które, jak widać, były charakterystyczne nie tylko dla uczelnio Marra. Studentów wychowywano w absolutnej nieznajomości teorii Łysenki. Zwolennicy Morgana przetrzymali się w ten sposób w zdecydowanie wrogów rozwoju nauki radzieckiej, zamienili jeden z czołowych wydziałów produkującej uczelni w siedlisko reakcji naukowej.

W powieści Uspieńskiej scena, która te procesy ujmuje w lapidarnym, artystycznym skrócie. Oto jedna z bohaterek „Naszego lata“, Luba, tonem z lekką protekcyjnym zaprasza kolchoz na szereg odczytów organizowanych przez studentów: „Słuchajcie, możecie zaprosić komsomolców z innych kolchozów? Z „Rasswietu“ można zaprosić — powiedziała Alina — Sprawy kok-saghyzu postawiono tam bardzo dobrze. Luba odwróciła się gwałtownie: Jak to postawiono? — Kolchoz ciągnie z kok-saghyzu duże dochody. Sadzenie metoda Łysenki zapewnia bardzo wysoki urodzaj. — Łysenki? Nie uczylimy się jeszcze o Łysenke. — Alina spojrziała złościwie na Lubę. Wiedziała, że odpowiedź ta spowoduje u Allosy wybuch oburzenia. Ale wbrew jej oczekiwaniom Alosa popatrzył na Lubę protekcyjnie jak starszy, i nawet z pewnym współczuciem. To jasne — powiedział — myśmy się na uniwersytecie też nie uczyli tego. Uczylimy się za to w kolchozie i słuchamy rad Trofima Deni-sowicza. I mamy z tego dochód. Nie jednego nas na uniwersytecie nie ucza. Musimy się uczyć sami.“

Podziwu godna jest umiejętność z jaką pisarka pokazała perspektywę rozwoju radzieckiej biologii, jej hu-

kontraktacji buraka cukrowego. Został mistrzem Polski z wynikiem 633 q z 1 ha. Z dumą pokazuje mi wyciętą z gazety fotografię.

— O, tu jest tow. Bierut, a tu ja. Sam tow. Bierut dał mi ten Krzyż. Chyba tego dnia nigdy nie zapomnę. To się nie często zdarza mieć możność rozmawiać z Pierwszym Obywatelem Polski Ludowej. Kto to widział przed wojną, żeby prezydent chciał pogadać z prostymi ludźmi!

Te 633 q to nie jednorazowy wynik. Ratajczak nie pracuje „zrywaniami“. Każdy rok przynosi nowe osiągnięcia. Ponadplanowe dostawy zboża i ziemniaków, wysokie plony w uprawie roślin przemysłowych są rezultatem ciężkiej i inteligentnej pracy. W zeszłym roku za wysokie zbiory osiągnięte podczas współzawodnictwa z sąsiadującym w pobliskiej wiosce Szpyrkowskim otrzymał jako nagrodę brony. Nagród tych ma dużo. Na kredensie stoi błyszczący „Pionier“, też nagroda.

— Ubieraj się, Edmund, o dwunastęj podwoły mają stać przed szkołą — zakrzyknął sąsiad, wtknąwszy głowę w okno.

— A może i wy byście się wbrali z nami? 13 km wytrzeście się wozem, ale będziecie na obchodzie Święta Ludowego w Kobylcu.

Propozycja była nieoczekiwana, zgodziłem się jednak bez namysłu. Ratajczak wyszedł się ubierać, rozjeżdżałem się po pokoju.

Na stole pod oknem stały rządami książki. Wstałem z fotela (taki z fotela!) i pochyliłem się nad nimi. Oto niektóre tytuły:

N. Kacyński — „Gleba“, J. Tokarski — „Gleba i jej życie“, A. Listowski — „Ziemniaki“, J. Lewandowski — „Chów bydła“.

W drugim rzędzie następujące: VII i XI tom Dzieł Stalina.

Plotr Guzy



manistyczny sens i wielkie ambicje zadania, poprzez pracę i myśli swego czołowego bohatera, profesora Łopatina.

Jest to jedna z najbardziej udanych postaci w książce. Ten uczyony, który ma wdziecznych przyjaciół w dziesiątkach kolchozów, uczy się od ludu, od jego codziennego doświadczenia i przekazuje mu znów swoje osiągnięcia naukowe, dotrzymując kroku szybkiemu marszowi narodu radzieckiego do komunizmu. Jego pojmowanie funkcji uczonego w społeczeństwie dalekie jest od wygodnictwa i oportunizmu. I jako uczyony i jako komunista wystąpi przeciwko własnemu przyjacielowi, gdy ten pośrodku będzie popierał niesłuszne poglądy i błędą praktykę naukową. Prof. Łopatina jest przedstawicielem prawdziwej radzieckiej, partyjnej nauki, podobnie jak w postaci Szumskiego Uspieńska zawarła wszystkie te odpychające cechy, które są konsekwencją niesłusznych założeń ideowych i politycznych w nauce.

Szczególnie duży sukces odniosła pisarka w literackim odwrocie do nauki i procesów przyrody, odgrywającej przecież ogromną rolę w książce o biologach. Wiadomo, jak trudno jest pisać o przyrodzie. Wtedy mistrzowie pejzażu literackiego typu Turgeniewa zostawili klasyczne wzory opisów przyrody łączące rzetelną znajomość natury z poetyckim spojrzeniem na jej zjawiska. Specyfika powieści Uspieńskiej nie pozwalała jej pójść śladami wybitnych pejzażystów. Autorka musiała zrezygnować z opisu artystycznego na rzecz popularno - naukowego objaśnienia zjawisk przyrody. Wybrała zatem drogę subtelniejszą i niezwykle zindywidualizowanego opowiadania o zjawiskach przyrody, podane go zjawiska w kształcie monologu wewnętrznego bohaterów. Umiar artystyczny pisarki pozwolił jej i w tym wypadku zachować słuszną granicę między relacją naukową a stylizacją i beletryzacją przedmiotu. Dała pełnowartościową, humanistyczną odpowiedź o bogatym świecie przyrody. Tak właśnie radziecki uczyony i artysta odczytuje niepojętą niegdyś księgę przyrody.

Alina Witkowska



TADEUSZ ORLEWICZ

Za kręgiem polarnym

NIEWIELE tylko dni w roku świeci tam słońce. Resztę czasu trwa noc. Przeświecana różnorodnymi płomieniami zorzy polarnej. Termometr wskazuje najniższą temperaturę na ziemi. Tajga wstępuje miejscami tundry karłowatej mchów, by zamknąć w ogromnych polach śniegowych złożysk. Ziemia skruwa wieczna zmarzlizna. Golfstrom tylko w części łagodzi lodowate technie bieguna.

Ziemię leżącą za kręgiem polarnym nazywano grobem przyrody. Setki i tysiące kilometrów dzieliły człowieka od człowieka. Neńczy, Saamowie, Czukczowie, ludy zamieszkujące te tereny były ludami koczowniczymi. Mieszkały w pośpiesznie klecionych lepiankach, żywności się surowa ryba, odziewali się skórami zwierząt. „Skazani są na pierwotne bytowanie — stwierdzała nauka burzująca — bo wszystkie swe siły muszą oddawać w walce o byt z mroźnym północą. W walce tej wymierają i nie ma siły, by odwrócić ich los w tej krainie, gdzie człowiek, roślina i zwierzę nie żyje lecz wegetuje“.

A człowiek tymczasem choć wegetował, ale i raz po raz zrywał się do walki z kapryśną przyrodą. Stąd 300 lat temu myśliwi i rybacy na jednoznacznych kłutach przedostali się na Szicberga. Stąd przychodził wielki Lomonosow. Sibirakow, rosyjski badacz Arktyki, uparcie dowodził możliwości życia osiadłego nad morzem Lodowatym. Sidorow projektował plany rozbudowy przemysłu rybnego wśród tundry nad morzem Karskim. Leczą z Petersburgu rządzili wtedy carowie i na wszystkie projekty znali jedną tylko odpowiedź: „nie!“

Historia wkroczyła tutaj z nadejściem Rewolucji. Artyka radziecka przekreśliła skostnienie wieków, zwycięża biała śmierć, dając wspaniały rozwój nowemu życiu. Jak uszedzie w Kraju Rad, tak i tu, mimo szczególnych trudności, człowiek podbił przyrodę, bowiem, jak mówił Kirow, „nie ma takiej ziemi, która w umiejętnych rękach, przy władzy radzieckiej, nie mogłaby służyć dobru ludzkości“.

Przecież nie było dotąd nic bardziej nienaradzonego jak nakreślenie tablicy Haberlandta granice stałych upraw. „Owies, aby dojrzeć — powiada ta tablica — potrzebuje w sumie 1940 stonni ciepła, jęczmień — 1600, groch 2100, okopowe 2500“. A tymczasem na dalekich Chibinach, na półwyspie kolskim, za kręgiem polarnym suma temperatur równała się zaledwie 1135 stopniom dla całego okresu wegetacyjnego. A w ziemi Jakutów, w pobliżu absolutnego bieguna zimna, była jeszcze niższa. Mim to, wspierane nauką Miczurina i Łysenki, narodziło się tam rolnictwo polarne. Już w latach trzydziestych pierwsze ogniska rolnicze powstają wzdłuż kolosalnego frontu północy.

Na półwyspie Kola zbioru ziemniaków przekraczają najmielsze przewidywania. Wyhodowano zupełnie nowe odmiany. Jedną z nich nazywa się w języku Saamów: „Umptek“ co znaczy: „podwójnie niedostępna tundra“. Jęczmień i owies dojrzewa tu o dwa miesiące wcześniej niż pod Leningradem. Bogatym kłosem szumi pszenica, owies i jęczmień w kolchozach Kamczatki. W rejonie minusińskim wcale nie znano dawniej drzew owocowych, teraz są sady w każdym kolchozie. Na polach Altau Jablonie nie boją się nawet czterdziestostopniowych mrozów: ścielą się po ziemi pokryte głębokim puchem śnieżnym i czekają spokojnie na pierwsze promienie słońca, by rozwinąć kwiat i owocować. W Karelii rosną czerwieńne odmiany mrozy. W Narian-Mar, niemal na brzegu morza Lodowatego, plan ziemniaków przekracza 500 kwintal z hektara, kopuści blisko 500. W altajskim kolchozie imienia Mołotowa rośnie sto rodzajów jabłoni, dziesiątki gatunków wiśni, malin, poziomek. Peczerskie i jakucie krowy dają do 5000 litrów mleka rocznie. Szara tundra pokrywa się szmaragdową upraw polarnych. Rosną zielone lany, otaczając coraz bardziej zwarty zaplecze kolosy przemysłu polarnego i nowe miasta.

Tadeusz Orlewicz

Nad brzegami jeziora Wudjaur, gdzie jeszcze w latach trzydziestych tylko koczowniczy Saam przeciągał ze swoim zaprzęgiem reniferów, powstaje wielki kombinat chemiczny, a z nim wielkie miasto. Dymią kominą jednego z największych na świecie zakładów przemysłu fosforatowego. Dobywają tu miedź i nikiel. Nad Peczerą rośnie Donbas Północy. Salecharda była przed czterdzieści laty małą kilkudziesięcioosobową osadą. Dziś jest to miasto setek domów, wielu szkół kombinatu, zakładów przerobki drewna, miasto nowego portu rzeczno-god. Rosną na dalekim Tajmyrze miasta i przemysłowe osiedla. Jeszcze na mapie z roku 1949 nie ma osady Jamterete, nie ma kolchozu „Czerwona droga“ lub „Nowa siła“, którego dochód w roku 1951 przekroczył 1,5 miliona rubli. Nie ma na mapie innych kolchozów — milionerów. Powstały one w ciągu paru zaledwie ostatnich lat. Przeobrażenie Arktyki radzieckiej trwa.

Powstało wielkie rybołówstwo polarne. To nie są już jednozajmowe kutry, ale wielkie motorowce, kierowane dyspozycją radarowa, korzystające ze wszystkich wskazań nauki. Dawniej na morzu Karskim, na morzu olbrzymiej masy pływających pól lodowych, żegluga trwała zaledwie 35 dni w roku, dziś przeszło 100 dni. Torują drogę olbrzymi — tak nazywa się „Krasin“, który uratował wyprawę Nobiliego do biegun, jak „Józef Stalin“ o wyporności 10 tysięcy ton. Na Nowej Ziemi pracują cztery stacje radzieckie stacje naukowe. Mieszka tam teraz na stałe rybacy i łowcy zwierząt polarnych. Na 81 stopniu szerokości północnej pracuje na wyspie Rudolfa inna naukowa stacja radziecka.

Coraz dalej na północ idzie człowiek — zdobywca przyrody i samego siebie. Gdzieś tam daleko na południu pozostała owa haberlandtowska czerwona linia, która tak długo broniła ludziom dostępu do skarbów przyrody. W niepamięć odchodzą pustkowia, których nie przecinał żaden tor kolejowy, które w swej szarej martwocie nie znają rytmu maszyn pracujących dla człowieka. Tu ze szczególną mocą sprawdzają się wielkie słowa: „Przekształcenie przez człowieka społeczeństwa i przyrody — to najgłębsza filozoficzna poezja naszej ery socjalistycznej“.

Powstała gęsta sieć szkół. Każdy ma już za sobą początkowe nauczanie, a dziś wszystkie dzieci Neńców, Czukczów, Komi uczą się w siedmioletnich szkołach. Przed czterdzieściami latami książka w rodzimym języku znalazła się w ich rękach — niebawem ukazały się studenckie nakłady podręczników. Wolni ludzie, zwycięzcy przyrody, przebyli w ciągu niespełna pokolenia drogę wielu wieków od barbarzyństwa do socjalizmu, od wspólnoty pierwotnej do nowoczesnej narodów, od chatki śniegowej do oświetlanych elektrycznością bloków mieszkalnych, od kompletnej ciemnoty kulturalnej do jasnego gościnka nowej, własnej, narodowej kultury.

Zaludniły się wielkie obszary dalekiej Północy radzieckiej. Front walki posuwa się coraz dalej i coraz szerszy, front walki o powszechny dobrobyt, o wysoką kulturę. A równocześnie za innym wycinkiem kręgu polarnego, tam gdzie nadal władzę dzierży kapitalizm, pustynia lodowa nadal króluje. W krainie Jacka Londona, na Alasce, nie ma więcej mieszkańców na terenie półtora miliona kilometrów kwadratowych niż w Kirowsku. „Gorączka złota“ przeszła nad tą krainą jak huragan i wróciła znowu dni odwiecznej martwoty, w której tkwi ziemia i ludzie. Tylko bazy wojenne przypominają tępotnym bezliłości tubylcom, że są w bezpośrednim zasięgu „kultury“ imperializmu. Dwa światy — dwa style życia.

PIOTR GUZY



Do Edmunda Ratajczaka pojechałem w niedzielę w dniu Święta Ludowego. Po dwóch godzinach jazdy wysiadłem na małej stacji Rabczyn w pow. wągrowieckim. Znacnie ten widok: przy torze mały budynek poczekalni otoczony strzelistymi topolami, a dokoła, jak okiem sięgnąć, pola. Od wschodniej strony horyzont zamkał długi rząd drzew. Tam właśnie leży Rabczyn.

Stara kobieta pokazała mi drogę. — A Ratajczaka znacie? — A znam, pewnie że znam. Kto by w Rabczynie Ratajczaka nie znał. W gazetach o nim pisał. Jak powstanie spółdzielnia, to o nas też ktoś napisze. Na spółdzielczym zawsze leży. Córka wyszła za mąż za spółdzielcę, to wiem. A Ratajczak to wyścigowiec w burakach i robotnik jak mało kto.

Rabczyn jest bardzo rozległą wsią. Jednym skrajem opiera się o rzekę Welnę, drugim podchodzi prawie pod sam Wągrowiec. Gospodarstw w nim 137, przeważnie małe i średnie. Ale czterech gospodarzy posiada po 28 ha. W Rabczynie

U MISTRZA URODZAJU

nie już istnieje spółdzielnia produkcyjna. Milanowicie w Nowej Wsi (rozparcelowane folwark), leżącej w stronę Wągrowca. Założona została w zeszłym roku. Na starą wsi jako jej założenia zabiegają właśnie Ratajczak i Grzesik, kierownik tutejszej szkoły.

— Niektórzy ludzie — rozgadała się kobieta — nie mogą się nadziwić, że Ratajczak taki skory do spółdzielni. Dobrze przecież gospodarzy na swoim. chyba to najlepszy gospodarz we wsi. Na początku maja był mroź, niech pan popatrzy, jak żyto się pali. I co teraz będzie? Jeśli jeszcze deszcz popada, no, to pół biedy. W spółdzielni byłoby inaczej. My na indywidualnym, to przeważnie sadzimy tylko pyrk i żyto, w spółdzielni byłoby miejsce na buraki, len, rośliny przemysłowe, co zawsze gwarantuje wysoki dochód.

Ma lat 40, ale nie wygląda na tyle. Ciężka wojenne przeżycia, niewola, a potem praca u „bambara“ nie odebrały mu jednak blasku młodzieńczości, którym tryskają jego trochę zielonkawe oczy, osadzone szeroko pod wysokim czołem. Kiedy w 1945 roku Ratajczak powrócił z niewoli do Polski, zastał w swoim gospodarstwie (7-hektarowym) same gołe ściany. Co było robić, zostać w Rabczynie, czy iść dalej, na Ziemię Odzyskaną? Perspektywa pozostania na miejscu nie wyglądała wesoło: ani konia, ani krowy, brak jakiegokolwiek narzędzi rolniczych. Został.

Dzisiaj stan inwentarza przedstawia się następująco:

4 krowy, 2 konie, 50 kur, 2 owce, 6 warchlaków, 1 maciora z 10 prosiętami, 1 knur.

Stan inwentarza nie daje jednak pełnego i właściwego obrazu. Dodajmy, że w roku 1951 w czasie dożynek w Poznaniu Ratajczak został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi za wyniki osiągnięte w

Piotr Guzy



JAN ONOPA

Do radiowęzła w Aleksandrowie!

MOŻE to nie najciekawsze, warto jednak najpierw wylizywać po kolei członków komitetu radiowęzła w Aleksandrowie, małym 10.000 mieszkańców miasteczku pod Łodzią. Spis wygląda imponująco. A więc: ob. Panonin z PSS — przewodniczący, ob. Szymonek z zarządu fabrycznego ZMP — v. przewodniczący, ob. Trzbiński z GS — sekretarz, ob. Szymańska z dyrekcji fabryki pończoch, ob. Rogowski z MRN, Jurkowski z Czesław z Partii, Pierlejewski z Liceum Ogólnokształcącego — członkowie, wreszcie Stobiecki — kierownik radiowęzła.

Ciało, zdawać by się mogło, bardzo rozległe, reprezentatywne, obejmujące najważniejsze instytucje miasteczka.

A jednak serdeczna żalostka ogarnia człowieka, kiedy słyszy naszą Aleksandrowską radiostację: „Obywatele, przypominamy o konieczności szczepienia zwierząt domowych. Tycy się to nie tylko inwentarza żywego, ale również kotów i psów!”

„Obywatele — tępicie szczyry, bo to straszna plaga, tępicie muchy, bowiem roznoszą zarazki, co zostało naukowo stwierdzone. GS posiada pełen asortyment trutek i mucholapek. Spieszcie się, idą gorące dni!”

„Obywatele, przypominamy godziny urzędowania w Miejskiej Radzie Narodowej...”

Zapowiadano także niedawno pogadankę wychowawczą, specjalnie dla Aleksandrowskiej młodzieży, ale na zapowiedzi się skończyło.

Przewodniczący Komitetu składał mi osobliwy rachunek sumienia. Przyznawał, że program radiowęzła nie odpowiada listotnym potrzebom miasteczka, ale ostentacyjnie nie bardzo jest co przez lokalny mikrofon nadawać. Najlepiej się z taką wypowiedzią wybrał. Jestem od szeregu lat mieszkańcem Aleksandrowa. Zżyłem się z miasteczkiem i jego kulturalny rozwój bardzo mi leży na sercu. Dlatego niechże mi Komitet Radiowęzła wybaczy tę garść uwag i miejscami zbyt może ostrą polemikę, niechże wybaczy, że zwrócę mu uwagę na tematy dla radiowęzła.

Jest w Aleksandrowie do zaatakowania pewien bardzo szkodliwy zwyczaj, nazwany popularnie „kultem matki boskiej pieniężnej”. Miejsce kultu to po prostu Gospoda Ludowa III kategorii, otwarta w rynku do późnej nocy. Od niepamiętnych czasów przyjęła się w Aleksandrowie tradycja polegająca na tym, że z wypłaty przynajmniej się pewną część na „skromną” uroczystość suto zakropioną rozmaitego gatunku alkoholem. Robotnicy wykonują ów kult 2 razy w miesiącu, a więc 24 razy rocznie. Urzędnicy natomiast „świętują” w knajpie raz „koło pierwszego”, czyli 12 razy rocznie. Rzecz prosta oprócz tych Aleksandrowskich dni „trafiła” się inne okazje do wypicia. Któż o tym nie wie. Każdy mieszkaniec miasteczka, obsługa lokalu.

To nie jest błąd problem, daleko więcej ważny niż świadomość o godzinach urzędowania. Iluż to ojców oświadcza dwa razy w miesiącu, że ma szczególne pecha do gubienia pieniędzy! Ile matek z trudem przez to lata rodzinny budżet. Muszę powiedzieć prawdę. Jak na robotniczy mały Aleksandrowo pijaków i awanturników jest zbyt wielu. I z tą spuścizną po niemoralnych, kapitalistycznych czasach powinien walczyć radiowęzeł. Wielkie to pole do popisu dla Komitetu. Pijkaków można wszędzie, do mikrofonu mogą mówić żony, matki a nawet dzieci. Bardziej burzliwe „posiedzenia” w gospodzie można odwrócić siłami miejscowego zespołu artystycznego, choćby z fabryki pończoch.

Mnie się wydaje, że warto by mieć dla celów radiowęzła specjalnego rodzaju reporterów. Powinni to być zrecenzijni zetemownicy. Ludzie na ulicach miasteczka wiele mówią, przestają na oczach, komentują ostatnie wydarzenia.

— Moja pani kochana, słyszała pani o tej zabawie w Domu Kultury?

— Ano, ano, milicjantowi nie starczyło blokcu na protokoły...

— Jakże m.ż. już zdrowo po tej napaści chuliganów?

To są częste rozmowy w moim miasteczku, opinia do żywego jest poruszona wypadkami pijanstwa i chuliganstwa, lecz jest to opinia luźna, ją to powinien zorganizować radiowęzeł i w ten sposób uczynić skuteczną.

Nieobytego w naszych Aleksandrowskich stosunkach przybysza stanowczo nie ośmieliłbym się zaprosić do naszego kina. Panuje tu zawsze taki hałas, że normalne odbieranie wrażeń jest niemożliwe. Mój kolega, student łódzkiego uniwersytetu, usiłował zwrócić uwagę sąsiadowi w kinie na niewłaściwe zachowanie. Został obrzucony wszelkim śmieciem zagadniczym dał mu tęgęgi kupańca w bok, a następnie począł na głos wołać: „puść pan to ciato” — film bowiem przedstawiał właśnie scenę miłosną.

Do kina chodzi prawie cała Aleksandrowska młodzież, chodzą dzieci ze szkoły i młodzi robotnicy z fabryk. Wydaje mi się, że ten przybytek X muzy zupełnie nie wypełnia wychowawczej roli. Przeciwnie, stanowi miejsce popisu dla chuliganów. Cóż na to nauczyciel Pierlejewski z radiowęzła i przedstawiciel młodzieżowy w Komitecie?

Przypominam sobie jeszcze jedno smutne wydarzenie. Teatr Ludowy z Łodzi zapowiedział przedstawienie pt.: „Idylla wczasowa”. Aleksandrowo zakupił aż... 30 biletów. Kierownictwo Artosu odwołało przedstawienie. Artystów odprawdzila do tramwaju, trzeba to powiedzieć, przysłowiowa „kocia muzyka”.

Oto tematy. Podjąć je, to tyle co rozpocząć nowy, wyższy etap walki o naszą Aleksandrowską młodzież. Nie rozumiem takiej miłości do rodzinnego miasta, jaką uprawia nasz radiowęzłowy Komitet Kochać to znaczy odpowiadać za rozwój miasteczka, a nie pobażać, lub co gorsza — tchórzliwie wymijać co drażliwsze sprawy.

Mamy w Aleksandrowie wcale nie mało pięknej i dzielnej młodzieży. Nie tak znowu dawno pisano na łamach „Wsi” o siostrach Kubik, robotnicach z zakładów północno-zachodnich. Jeżeli nie to właśnie, zamieszczone we „Wsi” opowiadanie, to we własnym zakresie nakreślone sylwetki dziewczyn, które odzyskały miłość ojca, dopomogły mu przejść na pozycję postępu, powinny być odczytywane przez nasz mikrofon.

Mamy i innych bohaterów, stanowiących wymowną przeciwwagę dla chuliganów, ppkających młodzieży porywającą i prawidłową drogę rozwoju. Taki właśnie chłopak to ślusarz Gromek, zamieszkały na krawędzi miasteczka u Podsiadłowiczów, chłopów Aleksandrowskich. On to, skromny i cichy, stał się głównym motorem w walce o spółdzielni produkcyjną. Dziś już osiągnął tyle, że Podsiadłowicze i inni powołali do życia Komitet Zatożycielski. Metody pracy Gromka, jego gawędy wieczorne w kręgu sąsiedzkim, gawędy o naszym kraju, który się przemienia — oto temat dla radiowęzła.

Miasteczko w którym mieszkam jest o tyle w szczególnej sytuacji, że sprawa pijanstwa, walki o moralną postawę młodzieży przeciwko chuliganstwu, jest konieczna bardziej niż gdzie indziej. Ale ta szczególność nie powinna w niczym hamować pracy radiowęzła. Jak to się dotychczas dzieje. Komitet myśli bowiem, że to co jest lokalne, to jest równocześnie nieważne. Tymczasem to jest ważne dla Aleksandrowa.

Stoi przed nami otworem nowy etap walki o młodzież. Pewno, że wymaga on skupienia wszystkich wysiłków do wspólnej walki. Ale te wysiłki powinny ujawnić się w pracy radiowęzła.

A komunikaty? Nikt przeciw nim nie występuje.

Jan Onopa

EDWARD POCHROŃ

ORGANIZATOR CZYTELNICTWA I...

NA rejonowym Zlocie III etapu Konkursu Czytelniczego ZSCH w Tarnowie wyróżnił się wśród uczestników tyś, tegi, 50-letni nauczyciel z Łękawicy (pow. Tarnów). Był chyba najruchliwszym człowiekiem na sali. Mimo bowiem, że chodził powoli, nie spiesząc się, wszędzie jednak było go widać. Zebrał też rzęsiście brawa, kiedy przez 15 prawie minut odbierał dyplomy, odznaki i nagrody książkowe dla czytelników swojej wsi. Przypominał wtedy żniwiarke, która odebrawszy spod kosa podcięte zboże, bierze je na ramię, a następnie układa kolejno na powrósto. A żniwo miał nad podziw — 15 dyplomów, 4 odznaki, w tym jedna złota dla niego i 4 nagrody książkowe.

Nauczyciel, Józef Spiechowicz, pochodzi z rodziny miechowskiego robotnika. Ukończył w trudnych warunkach seminarium nauczycielskie. Potem uczył w szkole wiejskiej w pow. Brzesko, Liteński. Tam to zetknął się po raz pierwszy z komunistami. Podczas wojny przez dwa lata uczył w Związku Radzieckim.

Po powrocie do Polski w rodzinnej wsi zaczął organizować życie kulturalne od nowa. W Szczerzowej (pow. Brzesko) zakłada Szkołę Zawodową i Liceum Administracyjno-Handlowe oraz Gminną Bibliotekę. W 1949 roku został skierowany na stanowisko kierownika szkoły powszechnej w Łękawicy (pow. Tarnów), do tam...

O tym właśnie opowiem, pozostając wierny zasadzie Spiechowicza — „nie lubię gadulstwa, a fakty, cyfry i robotę”.

Józef Spiechowicz na pierwszy rzut oka wygląda na podstarzałego, jowialnego pana. Kiedy mu się jednak przypatrzę, przypomniał mi się Bachmanow ze sfilmowanej powieści Ażajewa „Daleko od Moskwy” — tęgawy, łysy, zawsze spokojnym głosem przemawiający kierownik wielkiej budowy. Taki jest Spiechowicz — łysy, tęgawy, spokojny, o powolnych ruchach. Słuchając referatu notował sobie tzw. główne myśli. Bałem się, że w dyskusji będzie je odklepywał. Ale nie. Uczynił z nich tytuły punktów, pod które podstawił cyfry, fakty i konkretną walkę.

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

OPOWIEŚĆ O WACŁAWIE KAŁUŻY

NA bezchmurnym niebie wysoko jeszcze stało słońce, gdy dotarłem do Żelowa. Na rynku — niemal zupełnie pusto. Piękne majowe, sobotnie popołudnie. Nie rozumiem takiej miłości do rodzinnego miasta, jaką uprawia nasz radiowęzłowy Komitet Kochać to znaczy odpowiadać za rozwój miasteczka, a nie pobażać, lub co gorsza — tchórzliwie wymijać co drażliwsze sprawy.

Kałuża Wacław listonosz Upt Żelów

Wtedy właśnie, z sennej zadumy, wyrwała mnie smutka sylwetka nadszedzającego na rowerze człowieka. Człowiek ten ubrany był w ciemny, sukieny mundur, na ramieniu dźwiagał wielką majdaniarską torbę, pot spływał mu z twarzy. W przelotnym spojrzeniu tego człowieka uchwyciłem, o dżlwo, uśmiech...

Człowiekiem tym był Wacław Kałuża. Nie wiedząc o tym jeszcze — poszedłem w ślad za nim...

26 kilometrów liczy jego odcinek frontu walki o kulturę. Na tym rozległym odcinku doreczył w sobotni upalny dzień 342 gazety i czasopisma, nie licząc rozprawdzonych przy okazji książek i nie licząc 107 przesyłek listowych. Myślę: Trzystu czterdziestu dwoje ludzi oczekiwało dziś Wacława Kałuży, trzysta czterdzieści dwie naryk odbierały z jego dion stłowo drukowane...

Sentyment do książki i gazety w Kałuży był sentymentem dawnym, zamartwym w nieprzyjaznych okolicznościach wzrostu. Skromny „Mały Poradnik” odrodził ten sentyment. Kałuża zaczął szukać. Po macaku. Na ślepo. Kiedyś listonosz przyniósł mu książkę, a kolporter w cegielni namówił na wojewódzki dziennik. W dzienniku wyczytał wzmiankę o tygodniku, w tygodniku — o nowej książce. W swojej gromadzie rozmawiał z sąsiadami, z których jeden nieufnie zrazu zawierał pierwszą w życiu znajomość z książką i gazetą...

Ileokroć Kałuża doszukiwał się w gazecie wzmianki dotyczącej terenu jego gromady, jego gminy jego powiatu — tak po prostu, nawet bez świadomej zradzającej intencji — pokazywał ją temu i owemu sąsiadowi, pogadał z innym. I oto spostrzegł, że po tych przypadkowych rozmowach ludzie dotąd na boku stojący zaczęli czytać, a inni przychodzili doń pytać się „co tam słycać”. Tak według siebie zaczęła swa drogę do funkcji doreczyciela wiejskiego. Tak, według mnie, zaczął swą drogę działacza kulturalnego.

Do nauczyciela Wacława Kałuża podchodził zawsze z sentymentem i żądzą pewnego rodzaju Dostrzegł piękną funkcję społeczną roboty oświatowej, doznawał żalu, że on oto tylko cegłę kraje, gdy to mogliby czynić ci,

Spokojne oczy Spiechowicza przyciągały, wyczuwa się w nich siłę charakteru i woli, a zarazem jakieś ciepło. Nie raz wyczytywali w nich ludzie: Nigdy się nie cofać i nie załamywać! Zawsze wierzyć w człowieka, w opętany przez plótkę widzieć przyszłego przyjaciela!

Kiedy z końcem sierpnia 1949 r. zjechał do Łękawicy nowy kierownik szkoły, ludzie ciekawie mu się przyglądali. W pierwszym rzędzie chcieli rozoznać jego kolor polityczny. W tym czasie byli jeszcze bowiem w Łękawicy tacy, co „oplakiwali” ucieczkę p. Mikołajczyka i po cichu marzyli o jego „zwycięskim” powrocie. Spiechowicz już po kilku dniach rozpoznał, jaki będzie miał teren pracy i jak szeroko wypadnie walczyć z duchem mikołajczykowszczyzny. Jak zwykle bez wstępnych ceremonii zabrał się do roboty. Niejedną noc przedyskutował z kolegami z grona nauczycielskiego, których też obezradził tu tejszy „duch”. Przekonywał, zbijał argumenty, agitował. Przydały się dawne doświadczenia ze współpracy z komunistami i radzieckimi ludźmi. Uczył nauczycieli socjaliz-



mu w najprostszym i najskuteczniejszym sposobie: cyfry, przykłady, konkretna praca i gorące przekonanie do sprawy.

Agitacja Spiechowicza w szkole nie pozostała bez echa we wsi. Jak kurczęta, które kwoka ostrzeżają przed krążącym w górze jastrzę-

biem, skulił się chłop i schronił w pokrzywy. Ale nowy kierownik szkoły nie należy do ludzi, co łatwo się zrażają i ustępują. Mając za sobą szybko postawiony na nogi kolektyw nauczycielski, przysięgnął szturm na Łękawicę.

Jastrzęb spadł najpierw na najmłodsze kurczęta. Starawy, jowialny pan w pracy z młodymi zetempowcami okazał żywiołową młodzieńczość. Szkoła po południu stała się świetlicą i salą zebrań. Schodził się przeważnie sami młodzi. Starsi bali się jeszcze czerwonego jastrzębia. Ale ani się spodziewali, że atak na koło ZMP i szkolne dzieci to przedwstępne ugruntowanie frontowego ataku.

Nim do tego doszło, Spiechowicz po nocach uzbrojony w okulary i obłożony gazetami uczył się, bo według niego nauczyciel wiejski musi się znać na wszystkim. Dziś prenumeruje tylko... 80 czasopism.

Zaczął od rewolucji kulturalnej. Była to walka z analfabetyzmem i walka o zdobycie chłopów dla książki. Dawni analfabeci dobrze się widąc rozmakowali w pisanym słowie, skoro 55 z nich (na 56) zostało starymi czytelnikami. Najstabsi zaczęli od bajek dla dzieci. I tak to od skromnych początków doszedł duży zespół do drugiego miejsca w skali ogólnopolskiej w II etapie Konkursu Czytelniczego, a w III...

Józef Spiechowicz pomimo 50 lat jest trochę marzycielem, skoro postanowił w Łękawicy przekroczyć pół tysiąca ankiet. Początkowo sam chodził po domach. Wydeptał ścieżkę harcerszym. Agitowało już kilkudziesięciu smyków. Wpręgnął w robotę również ZSCH. Nie przekona harcerz, czy zetempowiec, zdoła być tatę członkiem ZSCH.

Bywało więc, że mąż czytał po kryjomu przed żoną, a żona tak się rozsmakowała w „zerkaniu” do chowanej książki, że nie wiedzieć kiedy, sama została czytelnikiem skrym do małżeńskich dyskusji. Z tych wszystkich siewów zebrano się w ogólnym plonie 347 ankiet. Starzy ludzie ciężką mają rękę do pisania, spóźnił się więc z wypełnianiem wypowiedzi. 170 ankiet przyszło do Zarządu Pow. ZSCH w Tarnowie już po terminie. Komisia nie urzędowała. Nie chciało jej się zebrać dla oceny „spóźnialskich”. Urzędowo zatem zaliczono 347, w rzeczywistości napłynęło 517 ankiet, ponad pół tysiąca. W Łękawicy padł swoistego rodzaju rekord. Nie uznano go w konkur-

su. Nie uznano go w konkur-



Rys. B. Butenko

si. Ale Spiechowicz tym się nie przejmował. Ten rekord ważny jest dla samej Łękawicy. Tu oznacza przetom i zwycięstwo. Rodzi się bowiem spółdzielnia produkcyjna. A trzeba się z nią obchodzić jak z noworodkiem. Każda piastunka straciłaby głowę, ale nie Spiechowicz. Powiatowy aktyw już chciał, aby niemowlę poczęło chodzić o własnych siłach, ale troskliwa piastunka jeszcze niarczy. W chwili, gdy Spiechowicz odbierał nagrody dla czytelników z Łękawicy, ci (23 osoby) bawili w spółdzielni w Libertowie.

— Tak się hartuje i umacnia niemowlęta.

Opowięci przewodził w Łękawicy matorolny chłop, dobry gospodarz, cieszący się we wsi autorytetem, na niego oglądali się niezdeterminowani. Spiechowicz podumał i w gronie agitatorów nie tak dawno go odwiedził.

— Przysłałmy do ciebie, aby zaproponować ci stanowisko przewodniczącego naszej spółdzielni.

Chłopina zbaraniał. Myślał, że kpią. Spiechowicz zachował jednak powagę urzędującego ministra. Chłopa „zagięli”, nie odpowiedział, ale teraz — powiada — śmiejąc się jowialnie Spiechowicz — jest już razem z przyszłymi spółdzielcami w Libertowie. Będzie agitował za nami i bez ambicji na przewodniczącego. Choć kto wie, może i zostanie.

Kiedy wyjeżdżałem na zlot do Tarnowa, do upiód do dziesiątej rano (17 maja), nasze stoisko sprzedało już 150 książek. Rozsmakowali się Łękawiczanie w książkach, rozsmakowali...

Edward Pochroń

którzy nie czują innych potrzeb i dla których świadomość uczestniczenia w budownictwie przez produkcję jednego z jego elementów jest właśnie tym, czym dla niego, Kałuży, możność uczestniczenia w robocie oświatowej...

Aż go kiedyś myśl dziwna olśniła. Wracając z cegielni przechodził obok szkoły i zatrzymał się z zaciekawioną wrzawą dziecięcą: Na szkolnym dziedzińcu listonosz niby legendarny Mikołaj wyciągał z torby kolorowe jakieś piśmanko, a dzieciomnia wyciągała rączki, przekomarżając się po przyjacielsku z człowiekiem w mundurze... Wtedy właśnie zdecydował się. Spostrzegł, że oświatowcem można być — będąc niekoniecznie nauczycielem.

I poszedł na pocztę.

Poznawał cudze i koncyponował własne metody pracy z czytelnikami i nad czytelnikiem, każdy eksperyment zaczynając od siebie. Zasłyszał kiedyś jak na odprawie jeden z listonoszy tłumaczył w jaki sposób w jego rejonie rozszedło się licznie czasopiśmo fachowe „Pszczelarstwo” w tym samym czasie, gdy w innych rejonach nie miało zupełnie czytelników. Oto listonosz ten po pracy przeczytał sobie numer piśma i pomyślał, kto właściwie w rejonie lubi pszczoły? I poszedł później do tego, który



pszczołki lubił, a ten zainteresował się piśmem, zaprenumerował je, wskazał listonoszowi dalszych zaprzyjęzonych pszczołarzy — i tak do właściwego czytelnika trafił listonosz z właściwym piśmem.

Inny listonosz na prośbę wieśniaka o „duże litery”, zaaplikował mu mechanicznie „Świerśczyka”. Wykonał plan o 1 egzemplarz lepiej i... za miesiąc stracił prenumeratę, bo się ostatecznie chłop-poczcziwko zdecydował, że na zdziwienie jeszcze mu sporo lat czasu zostało... Do tego chłopca — poszedł z „Gromadą”. To chwyciło. Chłop zaczął czytać — i zolał przy piśmie.

Stary, przeszło 60-letni Króliczak znowu uczył swym przykładem, że jak się idzie w teren z książką to najlepiej gdy się ją samemu przed tym pozna.

Tak zbierał Kałuża doświadczenia. Kiedyś, na początku, pogadał z matorolnym Hesiakiem z Maurwca, który niegdy nie czytał Odciążając jakiś list, nawiązał do robót aktualnych w

polu i „od niechcenia” do notatki na poruszony temat w „Gromadzie”. Hesiak się zainteresował. A Kałuża? Kałuża zostawił mu egzemplarz! „Przezytajcie sobie — powiedziała — do jutra. Jutro odbiorę!” Następnego dnia Hesiak sam go się zapytał, czy nie może tego numeru „sobie odkupić”. Wtedy Kałuża wyjaśnił mu sposób prenumeraty i zdobył prenumeratę. Dziś czyta już „Głos Robotniczy”, „Trybunę Ludu”, „Przyjaźń”...

W ten sposób na swym rejonie w Sromotce, gdzie przyszedłszy zastał 100 prenumeratów — zostawił ich, przechodząc na inny rejon — ponad 300. W ten sposób na nowym rejonie Kałuży stan prenumeraty z 290 wzrósł do 519 na dzień mej wizyty, a Kałuża zdobył sobie pozycję produkującą w żelowskiej placówce listonosza w zakresie popularyzacji czytelnictwa.

Dla uczczenia Zjazdu Spółdzielczości Kałuża wraz z kolegami postanowił zjednać 100 nowych prenumeratów prasy rolniczo-fachowej, z analizy terenu snując wniosek o zbyt słabym naeyeniu ta właśnie prasą, nasyceniu „proporcjonalnym” do rozwoju spółdzielczej idei. To było 23 lutego. Zobowiązanie zostało wykonane. W robocie był Kałuża i Króliczak, Wiśniewski i Kudajczyk, Nawrocki i Gronowski, Krysiek, Pawlak, Grabowski i Gasiński — ambitny i ofiarny, godny swego kolektywu kierownik placówki. Mało ludzi w Polsce o tej robocie wie, niknie ona w gronie naszego budownictwa i w ogromie naszej ogólnonarodowej rewolucji kulturalnej. Ale — powiedzmy sprawiedliwie — na ten właśnie ogrom składają się drobne „cegielki” w w rodzaju cegielki Kałuży i towarzyszy.

Wzrok mój pobiegł w kierunku wskazanym przez jego rękę. Zauważyłem światło na jednym z piętér stojącego na drugiej stronie ulicy, we wnętrzu budynku. Był to budynek Szkoły nr 1. — „Patrzcie — powiada Kałuża — tam pracują w tej chwili Byjochowie na Wystawie...”

„Nauczyciele — są sami, my — jesteśmy sami, młodzież — sama i niektórzy pojedynczy aktywiści sami. Kolektywu kulturalnego u nas tu nie ma... Popatrście na miasto — czy gdziekolwiek choćby zewnątrz poza szkołami, widać że mamy w tej chwili: Dni Oświaty, Książki i Prasy?”

Wniosek: Miasto, miasteczko, gmina i gromada — woła o szeroki aktyw kulturalny. O pomoc Byjochom i Kałużom w robocie oświatowej. w codziennej pracy nad upowszechnieniem czytelnictwa. W Dniach Oświaty i po tych Dniach. W latach Oświaty Książki i Prasy!

Sergiusz Jaśkiewicz

HENRYK WORCELL

Dzieje trzeciego etapu Konkursu Czytelniczego

opisane wiernie w gromadzie Zdarzyce Dolne — część trzecia

W ciągłym kontakcie z uczestnikami konkursu wryzaliśmy się w wieś, poznałem ludzi i ich sprawy. Jest to splot najrozmaitszych zagadnień, w których nieraz trudno się polapać, trudno je sklasyfikować, dać im jakis wspólny mianownik. Czy wolno i w jakim stopniu usprawiedliwić czyjeś przestępstwo? Lasowe brakiem uświadomienia, głupota, czy przeciwnie, jego głupotę nazwać karygodną? O czym świadczy fakt, że sółtys sąsiedniej gromady, Zdarzyce Górne, Pietrzycki, nie chce brać udziału w konkursie czytelniczym i napisać wypowiedzi, bo się obawia, że taka wypowiedź zostanie jako *corpus delicti* jego przestępstwa politycznego dla... dla tych z Zachodu?...

Czyżby władze gminne i powiatowe nie znają poglądów sółtysa Pietrzyckiego, który swoją funkcję pełni już piąty rok? (choć teraz już grunt pali mu się pod nogami, ale o tym później). Co to za człowiek, były przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej, Boczański, który zajechał samochodem do Iwanowa, kie-

z innymi... — Zamyślił się na sekundę.

— Może i dojdzie do tego, ale ja już wole nie czekać, jutro jadę. A jak tam powiem „a” to i „b” i „c” muszę powiedzieć. Niech mi pan tylko wszystko, co ja wiem, napisze, bo ja nie bardzo jakosi... — i poruszył sztywnymi palcami.

Było co pisać. Osobista krzywda Boruty, jest sprawą „a”. Fajszowa klasyfikacja ziemi w gromadzie — to „b”. Faktem jest, że Maciło Siłtarz, Kajmer, prezes ZSCH, Barcik mają dobre pole zaliczone do klasy VI, a Boruta, Modera, Potyrałowa i inni takie samo pole lub gorzej zaliczone do klasy III. Stąd też i ogromne różnice w podatkach i zdawaniu produktów rolnych. Dalej następuje sprawa dzierżaw. Maciło, Kajmer, sółtys Gruby, brat Kajmerowej, brat sółtysowej Gudron, Maślak, Gorczakowski — porzekli się swoich hektarów, porzekli te same hektary przyjęli w formie dzierżaw, gdyż od ziemi dzierżawianej nie trzeba płacić podatku, zdawać zboża, mleka, mięsa (dekret uniemożliwiający tę kombinację z dzierżawami jesiennymi był wówczas nie ukazał). A ponieważ plan skupu zboża gmina oblicza od całego arealu ziemi gromadzkiej, więc nie mogą obciążać dzierżawców, obciążają się pełnorolnicy, którzy nie korzystają z jawnych ani ukrytych dzierżaw. Stąd takie paradoksalne kontrasty, że ci „pełnorolnicy”, jak Boruta lub Krasicowa, kupując przez całą zimę chleb w sklepie, a trzylektarowi „biedniacy”, jak Maciło lub Maślak, sprzedają na wiosnę zboże po 300 zł za metr lub strużkę pszenicy dla świni, jak to robił stary Posiadio. Czemuż to GRN i PRN jednym obywatelom tak skwapliwie załatwia podania o zrzeczenie się hektarów i przydzielanie im te hektary w formie bezpłatnych poważnych dochodów, a tym, którzy naprawdę nie mogą poddać pracy i którzy chcą posiadać mniej hektarów, jak Boruta lub Miłnaga ze Zdarzyce Górnych, podać nie uwzględniają. Wskutek czego gospodarstwa tych ludzi ulegają dewastacji? Ponure światło na te sprawy rzuca zeznanie Mitregi, któremu jeden z urzędników GRN (dziś już aresztowany za branie łapówek) obiecał załatwić godne podanie o zrzeczenie się gospodarstwa za cenę dobrej „popłochy” i „zagrychy”. Co prawda, Boruta nie śmiały zaproponować takiej transakcji.

WRN we Wrocławiu. Potem... ale nie uprzedzamy wypadków, które i tak się gmatwają dziwacznie i narastają w sposób nieraz nieoczekiwany. Zresztą wypadki, które dziś obserwuję, jutro, za tydzień, za miesiąc można już ująć w wyraźniejszym, jaskrawszym oświetleniu, więc lepiej będzie, gdy opowiem o nich później.

W ciągu lutego, w związku z Konkursem, odwiedzałem kolejno czytelników, wymieniałem im książki i po trochu egzaminowałem, przygotowując ich do pisania wypowiedzi. Zależało mi nie tylko na jakości wypowiedzi, ale i na ilości, chciałem, żeby Zdarzyce Dolne zajęły pierwsze miejsce w powiecie w Konkursie (powiat zaś trzyma się na pierwszym miejscu w województwie) więc nie zrezygnowałem nawet z Piwnickiej, której pyzały i brzuchaty mąż chlubił się swoją „stałością poglądów”. Ściąłem się z nim na ten temat, bo to już było irytujące i głupie. Stałość poglądów. Takich poglądów? Niby, że on nie jest chorągiewką na dachu, którą wiatr powiewa jak chce, a ja właśnie to taka chorągiewka, bo przed wojną byłem innych zapatrywań, a teraz innych.

— Szkoda, że nie żyjesz od dwóch tysięcy lat, bo przy swojej „stałości poglądów” byłbyś jeszcze



rownika młyna w Zdarzycach Dolnych, przy czym ogólnie wiadomo, że Iwanow to jeden z bandy kumotrów? Czyżby przewodniczący Boczański podczas serdecznych pogawędek przy kieliszku nie zorientował się w poglądach Iwanowa, nie widział w nim wroga klasowego? Czyżby Boczański albo przewodniczący GRN, ob. Szyszka, nie wiedzieli, co to za człowiek sółtys Gruby, który odczytując na zebraniu dekret o dostawie mleka wyl się przed kumotrami jak pisior i usprawiedliwiał, że to nie on, że to nie z jego inicjatywy ten nakaz dostawy mleka? Nie, to niemożliwe, tak jak niemożliwe, bym ja od paru lat nie wiedział, że mi w szpizarni myszy hulają.

We wsi po kumotersku przeprowadzono klasyfikację ziemi. Kilku pokrzywdzonych pisze żalenie do Rady Ministrów. Pech czy „prywatna inicjatywa” chce, żeby do zbadania tej sprawy wysłano delegata, który niegdyś był urzędnikiem w powiecie. Wysłannik ten bada sprawę u szych dawnych kompanów z powiatu, potem u sółtysa Grubego przy kieliszku i tego samego dnia śpieszy, by zdążyć na pociąg do Warszawy.



ze strony kłikunastu ludzi, podobnie jak on skrzywdzonych, ale ci nie mieli śmiałości wystąpić odważnie, nie chcieli złożyć swych podpisów pod oskarżeniem. W owym czasie po cichu liczyli na to, że ja, jako korespondent, poruszę ich sprawę w gazetach, biorąc całkowitą odpowiedzialność na siebie, ale ja uważałem, że splot trudności dojrza do rozwiązania zbiorowego.

— Kumotrzy was coraz mocniej przypekają — rozważałem — wnet więc zrozumiecie, że walka klasowa na wsi, to nie marksistowski wymysł lecz najprawdziwsza rzeczywistość, a wrog to niekoniecznie ten, co żyje za granicą oznaczoną na mapie, lecz także ten bliski, oddzielony od was parkanem. Jest coś niesamowitego w zaślepieniu tego wroga, jakiego niewzruszone prawo, nakazujące mu postępowanie konsekwentnie poprzez cały łańcuch przyczyn i skutków aż do jego zguby. Jestem przekonany, że ani przewodniczący GRN Szyszka, ani sółtys Gruby, ani sółtys Pietrzycki ze Zdarzyce Górnych nie cofną się z drogi, którą idą od paru lat. Idą jeszcze dłużej, choć grunt im się pali pod nogami.

Borutę zastałem w stanie zupełnej depresji. Już wiedział, że ziemniaków mu nie starczy do wiosny, świnię musi sprzedać niedotuczoną. Podanie o zrzeczenie się części gospodarstwa odrzucono mu definitywnie.

— Panie, gdzie to jest, co mi pan czytał w Konstytucji? — zapytał sięgając po książeczkę.

Pokazałem mu i przeczytałem art. 10 w rozdziale 2: „Polska Rzeczpospolita Ludowa otacza opieką indywidualne gospodarstwa rolne pracujących chłopów i udziela im pomocy — w celu ochrony przed wyzyskiem kapitalistycznym, zwiększenia produkcji, podwyższenia poziomu rolniczo-technicznego oraz podniesienia ich dobrobytu”. Boruta młczył chwilę, bełknął palcami w stół, krzyknął na dzieci hałasujące w izbie i rzekł:

— Aha, tak to jest... Znaczący się, że mogą śmiało jechać do Warszawy?

— A dlaczego byś pan nie mógł jechać?

— Bo wie pan, mnie się to jakoś głupio widziało. Przecie ja jak partyjny, to ja to samo co państwo. To mnie i dziwne, że się sam nie mogę wybronić, tylko do Warszawy muszę. Sam nie, ale razem

z innymi... — Zamyślił się na sekundę.

Było co pisać. Osobista krzywda Boruty, jest sprawą „a”. Fajszowa klasyfikacja ziemi w gromadzie — to „b”. Faktem jest, że Maciło Siłtarz, Kajmer, prezes ZSCH, Barcik mają dobre pole zaliczone do klasy VI, a Boruta, Modera, Potyrałowa i inni takie samo pole lub gorzej zaliczone do klasy III. Stąd też i ogromne różnice w podatkach i zdawaniu produktów rolnych. Dalej następuje sprawa dzierżaw. Maciło, Kajmer, sółtys Gruby, brat Kajmerowej, brat sółtysowej Gudron, Maślak, Gorczakowski — porzekli się swoich hektarów, porzekli te same hektary przyjęli w formie dzierżaw, gdyż od ziemi dzierżawianej nie trzeba płacić podatku, zdawać zboża, mleka, mięsa (dekret uniemożliwiający tę kombinację z dzierżawami jesiennymi był wówczas nie ukazał). A ponieważ plan skupu zboża gmina oblicza od całego arealu ziemi gromadzkiej, więc nie mogą obciążać dzierżawców, obciążają się pełnorolnicy, którzy nie korzystają z jawnych ani ukrytych dzierżaw. Stąd takie paradoksalne kontrasty, że ci „pełnorolnicy”, jak Boruta lub Krasicowa, kupując przez całą zimę chleb w sklepie, a trzylektarowi „biedniacy”, jak Maciło lub Maślak, sprzedają na wiosnę zboże po 300 zł za metr lub strużkę pszenicy dla świni, jak to robił stary Posiadio. Czemuż to GRN i PRN jednym obywatelom tak skwapliwie załatwia podania o zrzeczenie się hektarów i przydzielanie im te hektary w formie bezpłatnych poważnych dochodów, a tym, którzy naprawdę nie mogą poddać pracy i którzy chcą posiadać mniej hektarów, jak Boruta lub Miłnaga ze Zdarzyce Górnych, podać nie uwzględniają. Wskutek czego gospodarstwa tych ludzi ulegają dewastacji? Ponure światło na te sprawy rzuca zeznanie Mitregi, któremu jeden z urzędników GRN (dziś już aresztowany za branie łapówek) obiecał załatwić godne podanie o zrzeczenie się gospodarstwa za cenę dobrej „popłochy” i „zagrychy”. Co prawda, Boruta nie śmiały zaproponować takiej transakcji.

W dwa tygodnie później Boruta otrzymał z Ministerstwa zawiadomienie, że sprawę skierowano do

dzisiaj zwolennikiem ustroju niewolniczego jak za czasów Nerona. To mu powiedziałem i więcej już nie zachodziłem do niego ani do jego odczytanej w Pitigrillim małżonki, bo byłoby to bezsensowne. A sółtys Gruby coraz nieprzyjemniej na mnie spoglądał, nie wiem też skąd się Kajmer dowiedział o moich „intrygach”, bo też zaczął się boczyc. Wcale bym się nie dziwił, gdyby przy najbliższym spotkaniu zapytał głosem rozżalonym: „panie Worcell, powiedz mi pan, co ja panu winien, co ja panu złego zrobiłem?” Tak by zapewne tę sprawę postawił, bo nie jest w stanie pojąć, że krzywda, jaką wyrządza gromadzie, bije także we mnie, w moją rodzinę. Ale nie, nie przystąpi do mnie, spogląda tylko bokiem i szepta coś na ucho do młynarza Iwanowa, a ten także patrzy na mnie spodebą, uśmiechając się ironicznie. Stanowczo stanowczo jestem potępiony, zgubiony. Ale nie jestem sam, budziłem przez miesiące armię czytelniczą, pomagałem jej zorganizować się poprzez książkę...

— W dwa tygodnie później Boruta otrzymał z Ministerstwa zawiadomienie, że sprawę skierowano do

dzisiaj zwolennikiem ustroju niewolniczego jak za czasów Nerona. To mu powiedziałem i więcej już nie zachodziłem do niego ani do jego odczytanej w Pitigrillim małżonki, bo byłoby to bezsensowne. A sółtys Gruby coraz nieprzyjemniej na mnie spoglądał, nie wiem też skąd się Kajmer dowiedział o moich „intrygach”, bo też zaczął się boczyc. Wcale bym się nie dziwił, gdyby przy najbliższym spotkaniu zapytał głosem rozżalonym: „panie Worcell, powiedz mi pan, co ja panu winien, co ja panu złego zrobiłem?” Tak by zapewne tę sprawę postawił, bo nie jest w stanie pojąć, że krzywda, jaką wyrządza gromadzie, bije także we mnie, w moją rodzinę. Ale nie, nie przystąpi do mnie, spogląda tylko bokiem i szepta coś na ucho do młynarza Iwanowa, a ten także patrzy na mnie spodebą, uśmiechając się ironicznie. Stanowczo stanowczo jestem potępiony, zgubiony. Ale nie jestem sam, budziłem przez miesiące armię czytelniczą, pomagałem jej zorganizować się poprzez książkę...

Henryk Worcell

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

BOGUSŁAW KOGUT

ROZMOWA Z ŚWIETLANĄ DURNIOWĄ

W Domu Sierot Wojennych w Jasnej Polanie

Ojciec, kiedy odchodził, ty pewnie nie pamiętasz.
 Nie wrócił. Szumią mu może w mej wsi sosny sądeckie.
 I matce, co cię bronić chciała jak pisklęcia,
 zła śmierć nie pozwoliła do końca zostać z dzieckiem.

A przecież — nie ma sieroctwa w twym kraju.
 Oddano uśmiech oczom co miały być bezdomne.
 Czy wiesz, że mej córeczce tak samo jak sobie
 jasnych włosów kosmyki na czoło spadają,
 gdy blaskiem wielkich oczu uśmiecha się do mnie?

Mówią: przodownica nauki, a oczy twe kwitną,
 Świetlano, jak błękitne żrenice bławatów,
 Znam tę radość w mej Hance oczach aksamiennych,
 gdy biegnąc mi naprzeciw woła — przyjechałeś tuś?

Widzisz, Świetlano — Hanka jeszcze nic nie wie o szkole,
 ma dwa lata i mówić nie najlepiej umie,
 ale w oczach głębokich ma radość i dumę
 i podobne do twego skupienie na czole —
 gdy patrząc w portret mówi: „To nasz Wielki Stalir
 i jeszcze, że „list pisze i fajkę sobie pali”.

Wam, rówieśnikom zwycięstwa, drogi jednakowe,
 już dziś świadome kroki kierujecie ku nim.
 Niosąc miłość rozumną — twardej walki owoc —
 jak w bezpieczne drzwi szkoły wejście w komunizm.

Za nadzieję, za twoje, Świetlano, dzieciństwo odzyskane,
 za moich dzieci wiarę, za radość w mym słowie —
 za nasze zwycięskie wczoraj,
 za nasze zwycięskie dziś,
 za nasze zwycięskie jutro — sława Stalinowi.

WITOLD BILLIP

O „Powrocie” Wacława Rzezacza

W skład utworzonej po I wojnie światowej Republiki Czeskiej weszła także część terytorium dawnej państwa austriackiego. Okręg ten był podzielony na powiaty. Jednym z nich był powiat Zdarzyce Dolne. W latach powojennych władze hitlerowskie rozpoczęły w tym powiecie (partii na cześci Pogranicza, Polska hitlerowska) politykę, której celem była pomoc dla faszystowskiej Niemiec w oderwaniu od niemieckiego Niemiec sudeckich. Przyszło Monachium i Pogranicze odpadło od wystawionej na Pragi siły otworem. Zadzwoń przez „służnikową” i własną burzą Czeskosłowacką upadła.

Wywołanie przyszło dopiero wraz z Armią Radziecką i maszerującymi u jej boku wojskami ludowymi Czech. Powstała nowa Republika, obejmująca cztery powiaty także zagarnięte przez Hitlera terenem.

Warunkiem trwałego związania tych terenów z matczyną była występlenie w znacznym mierze zarzążeń faszystowskich, a następnie załadnienie Pogranicza ludnością czeską. Należało także przez stworzenie obcnie łapy niemieckiej i wszelkiego innego kapitału, wciągające się po wiekie obiekty przemysłowe nowocześniejszymi ziem. Tak od powstania Czeskosłowacji imy był program polityczny, burżuażji czeskiej, tej chodzilo o to, aby czeski nacjonalizm zastąpił na Pograniczu dawny nacjonalizm niemiecki, aby miejsce kapitału niemieckiego zajął, choćby za cenę usiępiw i sojuszu z hitlerowskimi fabrykantami, kapitał czeski.

Partia komunistyczna musiała więc prowadzić walkę na dwa fronty. Dziś, gdy walka ta już jest wygrana, przy rozrozmieniu lutego spisku burżuażji z 1948 r. Czesi i Słowacy budują w swej gołnie podstawy socjalizmu — szczerze i pierwszy raz — cełna dobra książka.

Taką książką jest nagrodzona w Czeskosłowacji Nagrodą Państwową za 1951 powieść Wacława Rzezacza „Powrót”.

Powieść Rzezacza, będąc nieposlednią miary dziełem literackim, ma dla nas waznosc dokumentu historycznego. Umozliwia zbliznicie wiedzcy o okresie walki o Powrót z przelotem naszej walki o Ziemie Odzyskane. Lecz nie to jest tylko polega jej wartosc. Centralnym tematem „Powrotu” jest ukształtowanie się „rod osiedlonych bojowego aktywu partyjnego. Książka daje bogaty przegląd postaw ideowych, ukazuje dorastanie bojowników do trudnych zadań. Dokument historyczny staje się dokumentem ludzkich przeżyć.

Wacław Rzezacz, „Powrót”, Warszawa, 1953, „Czytelnik”, str. 534 i 116. Z czeskiego przetłumaczył Maria Erhardtowa.

HELENA ZAWORSKA

Opowieść o trudnej młodości

Patrzac na przedstawienie „Poema o pedagogice” Maikarekni w wykonaniu młodzieży, amator-skiego teatru „Nurt” w Nowej Hucie doznaje się wzruszeń, jakich nie może dostarczyć najlepsza obsada najlepszej z tzw. zawodowych teatrów. Na scenie dzieje się bowiem jakby dwie sztuki, ta, którą reprezentują sami aktorzy, i ta, którą reprezentują sami jako zespół, jako kolektyw ludzi, których zainteresowania, zapal, zdolności i wytrzymałość stoworzyła ten młody teatr. I nie widać, co znaczą tu za większy sukces: czy wytrwanie tyłu przedstawień scenicznych, czy stworzenie kolektywu, który stał się nie tylko szkołą trudnych umiejętności aktorskich, ale również szkołą charakterów, nowego stosunku do życia, do pracy, do kolegów.

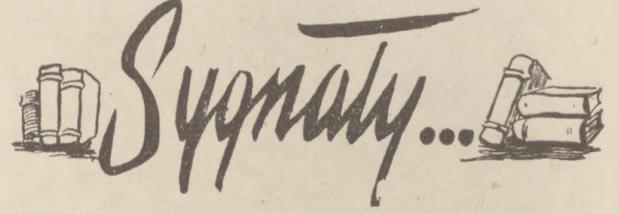
Nowa Huta, to tylko jeden przykład. Można by je mnożyć bardzo długo, lecz z nich znać z własnego terenu, z własnych doświadczeń? Przyzwyczajaliśmy się już jakos do tych faktów. Cieszą nas, ale nie zdumiewają. Prawo do pracy, prawo do nauki, prawo do rozwijania swych zdolności jest prawem zabezpieczonym, prawem, z którego korzystamy codziennie. Rosną nowi ludzie, rozwijają się młode talenty. Z tysiąca sztuk grających przez teatry amatorskie i świetlicowe najpiękniejsza jest ta, o której mowi trud młodych artystów.

A przecież jeszcze dziesięć, piętnaście lat temu, za rządów polskiej sanacji, tak wyglądało marzenia młodego robotniczego dziecka, pragnącego zostać aktorem. „Wierzę, że tylko teatrem można szczęśliwie Dzielego jeśli już nie będę aktorem, to przynajmniej woznym czy bileterem. Zebym mógł żyć w atmosferze teatru, byle wychodził zapach sceny! Śmiejesz się że miłe, prawda? Nawet marzenia, by zostać woznym, wydają się smieszne — jak zresztą marzenia o jakiejkolwiek pracy. Zbyt wielu jest bezrobotnych.

A oto drugi obrazek. Młody, zdolny chłopak piszący dobre wiersze, a zamiatanie chleba często kupujący tygodnik literackie, w siołcy swojej ojczyzny znaleźć może tylko takie zajęcia, które zaledwie zabezpieczyć może go przed głodem. „W pierwszych dniach listopada, podczas okropnej flagi stulem zachlawał się swój towar, „Grze-by-ki” — wolałem — „Lus-ter-ka!”, Ale niki nawet nie spojrzal w moją stronę. Każdy, jak tylko mógł, umykał przed wstrętną pluchą. W gestie iście darli się ochrypli gazetarzy, a krzyk tych mieszal się z melodią flokstrata, płynącą z niewidzialnego głostraka. Zabijałem zżębnięte ręce, chuchałem w dlonie i przestępując z nogi na nogę, rzucatem przechodniom: „Okazaj!”.

Zacytowane fragmenty, to wyjątki z niedawno wydanej książki Józefa Kłosińskiego „Czarna wiosna”. Przywołana ona obraz dot robotniczego dziecka w warunkach Polski sanacyjnej. Dwa młodzi chłopcy, o których tu wspominałem — to bracia dzieci zamordowanego w więzieniu komunisty. Nauka jest dla nich niedostępną, praca — wyczerpująca ponad siły, często poniżająca, nie dająca żadnych kwalifikacji, nie zapewniająca żadnych perspektyw na przyszłość. Ot, sprzedawanie grzybków, noszenie walek, całodienne uganianie się za robotem, za który nie zawsze można było zaspokoić głód. W tych warunkach praca walki klasowej szybko stają się dla chłopców uświadomionymi prawami ich życia — od pierwszej, jeszcze nieokreślonej potrzeby buntu, poprzez próby organizowania żywołowo, na własną rękę, aż do udziału w walce KZM.

Książkę Kłosińskiego pisaną w pierwszej osobie jako opowieść Franka Rodaka, cechuje prostota i bezpretensjonalność, łatwość przemawiania do czytelnika obrazami o wielkiej bezpośredniości w oddaniu sytuacji czy przeżyć bohatera. Powieść nie jest wojną od głodu i uproszczeń, a przecież wstrząsnęła obraz wyzysku, nędzy, wyniszczenia młodzi, zaprzepaszczenia być może wielkich zdolności. W wielkiej



WITOLD BILLIP

O „Powrocie” Wacława Rzezacza

Dobrze by było, gdyby przeczytał „Powrót” były pionierzy odbudowy naliczonej Ziemi Odzyskanych. Niejednemu z nas, w sytuacji tego okresu — odnalezienie własnej wsi, własnego domu, swoję własne trudności i zwycięstwa.

Wiecej: niejednemu z czytelników, którzy nigdy na Ziemiach Odzyskanych nie byli, odnalezienie powieści Rzezacza samemu sobie, kogos ze swych bliskich, znajomych. Zastanawiam się nad sensem tegoż opieranie swój sąd o książkach, dlaczego jedna się nam podoba, a inna nie?

Na pewno wielu zapytanych o to odpowiedziały mi: więcej „Książka przez nią wiesz, jeżeli to, co autor chciał to się potwierdził (ideologia książki) stało się i człowiekiem moich wyobrażeń do”. Ktoś inny powiedział: „Cenię swiat, w którym pomagają mi zrodzić drzewca moje pytania”.

„Zdania te byłyby trafne, ale zbyt szerokie. Można by je zastosować także np. a nawet do podreczników-leninizmu. Na je tak uzupełnie, aby odnosiły się tylko do literatury pięknej.

Autorem powieści nie podaje swęj ideologii wprost. Aby przekazać ją czytelnikowi między innymi postaciami, ukazując bohatera. Dobra, obmyśla losy własnie przede wszystkim siebie, ale od tylko to, co tym własnie ludziom mogło wazniejsze, najistotniejsze w myśleniach i losach wszystkich podobnych do siebie ludzi. Mówimy wtedy, że to jest grupa społeczna, dla jakiejś klasy, sposobu myślenia, dla jakiejś ideologii, stosunku do innych ludzi, do społeczeństwa.

Oto mamy uzupełnienie poprzednich w którym słusna ideologia ukazana jest wedy przede wszystkim zyskuje, a postać wyci czytelniczo miano typowe, gdy mówię, swego ojca, brata, znajomego, inachy, którzy w tym, jakiegoś, świadczą, losy znajdując oparcie w doczytelniczym, szerokiach rzesz

Diatego pewnie jestem, że spodoba się książka i na swoje blędy i niedociągłości. Bo w myślach i losach takich postaci jak Bogar, Posława, Anton, Brendi i Josow, bo z ich postaw i działalności, dla jednego potwierdzenia, wniknąć w brzoję już miejsca w obszarze socjalizmu i powojnu, dla drugich — pomoc w odnalezieniu własnej drogi. Diatego warto przeczytać „Powrót”.

Witold Billip



Przecież on u tych, którzy wnieśli skargę, w ogóle nie był. Najgorsze w tym wszystkim, że ludność miejscowa traci zaufanie do Powiatowej Rady Narodowej a przez to w jakimś stopniu do Rządu Polski Ludowej.

Mało tu mamy takich odważnych jak Szymaniak, który tylko dzięki przypadkowi nie spełnił swej groźby, nie poszedł do popijającego u sółtysa delegata z Warszawy i nie wyrznął go kuflem w głowę krzyżując: „Gdzie jest twoje miejsce? Dlaczego nie siedzisz u tych, co skargę pisali? Dlaczego nie idziesz do nich? „Obrzymia większość tych pokrzywdzonych nie ma odwagi Szymaniaka, woli siedzieć cicho i znosić ucisk. Takim tchórzem jest Nureczek, który na równych warunkach pracował razem z Maciłem i Kajmerem parę dni przy wżwoce lodu do młeczarni. Zarobili 3.400 zł., ale Nureczek dostał tylko 400 złotych, a Maciło i Kajmer wzięli sobie po 1500 zł. Z pewnością gdyby Nureczek ukradł Maciło 10 zł. z kieszeni, Maciło krzychałby na całą wieś: „chwytajcie złodzieja!“. Ale gdy on sam ukradł Nureczkowi 460 zł., to się nie nazywa kradzieżą. A przecież Maciło i Kajmer są chrześcijanami, jak powiadają, chodzą do kościoła i może dlatego dziwią się, dlaczego i po co na świecie wybuchają rewolucje?

Wydane w 26 rocznicę ogłoszenia przez Towarzystwo Stalina przemówienia na VIII Zjeździe WPKZM 16 maja 1928 roku.

DOTRZYMANA PRZYSIĘGA
 Montaż sceniczny ku czci Józefa Stalina.
 str. 124 cena zł 2.50

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO
 „Kieku”
 LUCJAN FRACKI
 KORESPONDENT WOJENNY
 Z KOREI DONOSI...
 zbiór reportaży
 „...Widziałem nie tylko zbrodnie popełnione w Korei przez amerykańskich najęźców. Widziałem ogromne, porażające bohaterstwo narodu koreańskiego i jego niezwykłą siłę...”
 STR. 246 cena zł 13.—
 WYDAWNICTWO MON

STANISŁAW KAMIŃSKI

POWRÓT Z PLACÓWKI

Ojcu

Pamiętam — rok czterdziesty piąty, wiosną — nad ziemią jeszcze echo salw się niesło, rudziały jeszcze noce w ogni blaskach, krew krzepła na poprzeszrzelanym kaskach. Pociski jak stada wędrownych ptaków do ostatniego biegu ataku.

A tyś, rezerwista w karabin niezbrojny, szedł na placówkę ocalałą z wojny.

Cała broń twoja to książka i słowo — w nich zawierałeś prawdę życia nową.

I wieś nie była spokojna, wesola... bandyta lufę przystawiał do czoła — i padł od kuli niejedyn Seweryn*) za to, że dzieciom rysował litery;

za to, że w duszach dziecięcych budował nowe światy, marzenia — że jak kowal przekuwał nieforemny jeszcze kruszec, na pełną hartu i zapalu duszę;

za to, że myśl jego była jak granat w szańce serc ludzkich ze szkoły rzucała.

Tyś przetrwał, ojciec, na swoim przyczółku, odpiarając trudy, które pulk po pulku szturmowały ciebie steranego życiem. Nigdy nie pytałeś: poddać się, czy bić się?

A gdy powrotu trudna przyszła chwila na chleb zasłużony z frontu do cywila, przywoleń z sobą zeszyty i książki, na których przetrwał ślad twej ręki drżącej.

Za to, że do tych zeszytów powracasz ukradkiem nieraz, że wiem: twoja praca

ludzi w siły pierwsze uzbraja w wielu, kocham cię ojciec — nauczycielu!

*) Władysław Seweryn — nauczyciel-aktywista zamordowany przez bandę w okolicy Wolbromia.

Być i nauczycielem i działaczem kulturalnym



ZOFIA TALIK

DO ROLI CZŁOWIEGO AKTYWU

W naszych pięknych, malowniczych stronach, w gromadzie Miłowka, pow. Zywiec, bieda przed wojną aż pisała. W całej okolicy nie znajdziesz ani jednego samowystarczalnego gospodarstwa, sama wokół biedota. A po wojnie? Znakomita część co energiczniej odeszła do przemysłu, ruszyli po nowe życie do Zywic, Bielska, Nowych Tych, Węgierskiej Górki. No i w rezultacie ziemi zrobiło się niejako zbyt dużo, a w każdym razie nie ma kto jej obrabiać. Ludzi mało, ceny na rolniczą wprost szalone. Powstały więc dzięki przeobrażeniu się w kraj przemysłowy realne warunki na powstanie spółdzielni produkcyjnej w naszej gminie. I rze-

rola — organizatorów i kontrolerów.

Taki stan, niewątpliwie dla nas korzystny, pozwala nam zwracać baczną uwagę na pewien bardzo poważny w naszej szkole problem. Idzie mianowicie o stałe podnoszenie kwalifikacji zawodowych. Ostatecznie nie agronom i nie bibliotekarz, ale właśnie my odpowiadamy przed państwem za postępy dzieci w nauce. Trzeba dobrze sobie z tego zdawać sprawę, że zła, niedostatecznie przygotowywana szkoła podstawowa może spowodować, iż zdolne chłopię dziecko nie przejdzie szkoły średniej, nie zobaczy nigdy sali seminarialnej na wyższej uczelni. Jak najlepsze wyniki nauczania, najpóźniej rezultaty wychowawcze — to nasze bojowe zadanie.

W naszej szkole całe grono nauczycielskie posiada pełne kwalifikacje zawodowe. Mimo to problem doświadczenia się, pogłębiania i uzupełniania wiedzy istnieje z całą ostrością. Nasze dzieje biegają szybko, szybko też rozwija się nasza nauka. Ież to nowych wydawnictw powinien od zeszłego roku poznać, przedyskutować i ugruntować nasz polonista, albo biolog?

Wszyscy współpracujemy z Komisją Rejonową, wszyscy stale chciwie chwytamy nowe, nieznanie nam jeszcze dotąd osiągnięcia naukowe w ulubionych dziedzinach, piszemy referaty, dyskutujemy, robimy wszystko, co można, aby za rozwojem polskiej myśli naukowej nadążyć.

Mimo to problem samokształcenia wśród nauczycieli nie jest jeszcze w pełni rozwiązany. Nasi koledzy z odleglejszych gmin muszą nieraz 5 a nawet 10 km przejeżdżać, by znaleźć się w gronie doświadczonej w Komisji Rejonowej. Problem ten należy niezwłocznie rozwiązać dla dobra naszej szkoły, naszych wychowanków — młodzieży. Jest to przecież najcenniejszy kapitał naszej ludowej ojczyzny.

Zofia Talik

Roman Szczybień

MÓJ MŁODY KOLEKTYW

Nie taka to znowu prosta sprawa mieć przed sobą 85 dzieciaków, nie zawsze domytych, bosych latem, opatulonych zimą w matczyne chusty i widzieć w nich najmłodszych aktywistów, grupę działaczy.

My, nauczyciele, najchętniej wiążemy się z aktywnym partyjnym, z przodującym chłopami, z Komitetem Rodzicielskim, ale dzieci? Pisze taki jeden z drugim jak kura pazurem, rob: błędy, od których bieją włosy, psoci, ile wlezie, jakże go użyć do pracy w terenie?

Udało mi się w Bojanowie, pow. Nisko, gdzie ucze w szkole 7-klasowej, stworzyć młodzieżki aktywny terenowy i to jest główny powód, dla którego zdecydowałem się napisać do „Wiśi”.

Kiedy po raz pierwszy postawiliśmy przed organizacją harcerską zadanie mechanizacji rolnictwa, nowych, socjalistycznych metod pracy na roli, nie liczyliśmy na to ani trochę, że starsi zainteresują się tym, co między sobą mówią dzieci. A jednak? Pamiętam jak dziś, „razu nie miało, a potem już całkiem bezpośrednio zwracali się chłopcy.

— Jak to jest z tymi międzyplonami i systemem Wiljamsiego, bo coś niewyraźnie chłopak baja?

— Więcej powiedzieliście, że można się takich buraków dochować jak

KONSTANTY KRAWCZYK

Z podróży do ZSRR

W RADZIECKIEJ SZKOLE

JESTEM młodym nauczycielem, nie posiadam jeszcze większego dorobku, zbywa mi i na doświadczeniu. Do Kraju Rad pojechałem pełen napięcia i ciekawości — tak bardzo chciałem poznać przodującą szkołę, porównać ją z naszą.

U nas w kraju zauważamy przy szkołach wiejskich, często i małomiasteczkowych takie zjawisko: wielu nauczycieli, znakomita większość, może się indywidualnie poszczycić pięknymi osiągnięciami w pracy społecznej pozaszkolnej. Ale nie umiemy jeszcze szkoły jako całości powiązać z terenem, zbliżyć nauki do życia, zwłaszcza w szkołach podstawowych.

Dlatego też zapewne poświęciliśmy w czasie wycieczki największą wagę politecniczemu wykształceniu. Jest to zagadnienie, którym szkoła radziecka żyje, zwłaszcza po XIX Zjeździe KPZR. Kształcenie politecniczne, jak mi się wydaje, wymaga zrealizowania dwóch podstawowych warunków. Oba są w szkole radzieckiej spełnione.

Po pierwsze chodzi o materialne warunki — niezbędne pomoce naukowe, możliwe najbogatszy sprzęt laboratoryjny dla gabinetów fizyki, chemii, biologii. Prawie każda szkoła, jaką zwiedziłem, a były to placówki typu średniego, posiadała pracownie tak obficie zaopatrzone, że nie zachodziła potrzeba dzielenia sprzętu między kilku uczniów.

Po drugie, nauczyciele radzieccy zbudowali szereg mostów pomiędzy szkołą a życiem. Nie chodzi mi tylko o poletka doświadczalne, gdzie młodzież wkracza w praktyczną stronę pobieranej nauki. Chociaż warto tu podkreślić fakt na ogół u nas mało jeszcze praktykowany. Oto poletka doświadczalne, ogrody miczurinowskie, posiadają w Polsce co najwyżej szkoły wiejskie. W Kraju Rad natomiast i miejskie szkoły posiadają swoje działki, współzawodniczą w walce o wysokie plony z podmiejskimi kolchozami.

Są wszakże i inne mosty prowadzące szkołę do życia. Wycieczki, nieustanne kontakty z wielkimi warsztatami pracy to nie tylko najpełniejsze, najbardziej przekonujące zastosowanie metody poglądowej. Wielkie budowle komunizmu unaczynają przede wszystkim młodzieży prawo wzrostu sił wytwórczych w społeczeństwie socjalistycznym. U nas szerokie kontakty młodzieży z krajem stanowią częścią jeszcze „pięć achillesową” nauczenia. Wykładamy o socjalistycznej przebudowie naszej ojczyzny, ale, jasne to przecie, żaden wykład nie zastąpi żywej, oglądanej oczami wspaniałej budowli — Nowej Hut, Wizowa, Kombnatu Piotrkowskiego czy Wierzbicy.

Konstanty Krawczyk

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

„Kompleks zapłocia” pryska...

W terenowych doniesieniach nauczycieli było zawsze coś wzruszającego. Suche, zdawać by się mogło, informacje o uruchomieniu świetlicy, zespołu dobrego czytania, rzeczowa informacja o powstaniu jeszcze jednej spółdzielni produkcyjnej w ciężkiej walce klasowej, albo choćby tylko uporządkowanie rachunków w GS — to wszystko ożywało, nabierało rumieńców pod piórem nauczyciela. Zapewne dlatego, że u podstaw tych osiągnięć dostrzegano się skromnie często ukrytą, ale przecież wyraźną, bohaterką nieraz pracę nauczyciela. Ta właśnie wysoka cena, jaką placę za uczestnictwo w zwycięstwach gromady czy gminy — najwięcej wzruszała. W wyobraźni widziało się smutne zadeszczane dni, jakieś błotniste, samotne drogi, po których szedł, by apłować na gromadzkim zebraniu za socjalistyczną gospodarką, nieprzespane noce spędzone nad obmyśleniem świetlicowego repertuaru. To musiało wzruszać. Ale i niepokoiło równocześnie. Czemuż to tak samotnie, w pojedynkę, bez aktywnej, dzielnej grupy?

Pamiętam pewną wesołą i smutną zarazem przegodę w terenie. Było to chyba rok temu.

— Gdzie mieszka nauczyciel Molendys?
— Molendys, ten od rachunkowości?
— E, gdzie od rachunkowości, toć to przecie weteryniarz.
— Co człowiekowi w głowie krecie, to nasz bibliotekarz...
— Stowem wszystko, tylko nie nauczyciel. Wszedłobyśki aktywista, bohater większości gminnych spraw, znawca wszechrzeczy na odcinku gromady, pracowity do utraty tchu — to właśnie chwytano za serce i trwożyło je.

Ostatnie wypowiedzi nauczycielskie, jakie właśnie otrzymaliśmy (drukujemy część z nich na tej kolumnie), również wzruszają. Lecz jest w nich coś dotychczas nieznanego.

Zamiast szeregowego aktywisty, który pełnił wszelkie możliwe funkcje — buchaltera, weteryniarza, dyrygenta, śpiewaka, mówcy, radnego, eh — przerwijmy już tę litanię, niesposób jej w całości wypisać — widzimy oficera sztabowego, współpracującego z aktywnym gminnym. Powiązanie się z aktywnym, a przez to uwydatnienie się w hierarchii działaczy gminnych na czoło, to cecha współczesnego etapu pracy nauczyciela w terenie.

„Coraz częściej funkcja nasza polega na robocie organizacyjnej, doradczej i kontrolnej. Mamy bowiem w gminie już takich ludzi, którzy sami prowadzą odczyt, dyskusję...” píše kol. Zofia Talik z Miłowki, pow. Zywiec.

Ta właśnie sytuacja spowodowała, że terenowe doniesienia naszych pracowników oświatowych po raz chyba pierwszy tak wiele mówią o... szkole.

Kolega Roman Szczybień z Bojanowa, pow. Nisko, zorganizował w szkole młodzieżowy, silny, wydajny społecznie kolektyw, więcej zdolny z działacza niż nauczyciel na 10 gminnych funkcjach. Toć to przecie młodzie, ba — dzieci nieledwie, ożywił wieś gospodarzo, dopomogli zlikwidować analfabetyzm, rozmiłowali chłopów w czytelnictwie książek, dopomogli przy elektryfikacji gminy, sprowadzeniu statego kina...

Ten rzadki dotychczas temat — SZKOŁA — bardzo się rozrósł w ostatnich wypowiedziach i sięga daleko poza problem użycia młodzieży do rewolucjonizowania stosunków w gromadzie. Nie chodzi już nawet o żywszą niż kiedykolwiek przejawia troski nauczycielskiej o wysoką wydajność młodzieży w nauce, czy nieustanne powracanie do sprawy politeczniczej nauczania.

Warto podkreślić tu inny, niezmiernie radosny fakt, ten mianowicie, że nauczyciel wyraźnie porzuca niebezpieczny „kompleks zapłocia”. Sprawa tego kompleksu ma swoje dwie strony. Jedną z nich odnajdujemy w słowach kol. Felicja Majdzińskiej (Redkowice, pow. Łęka): „Nie ma lepszej pracy w powiatowym miasteczku czy w powiatowym mieście, a gorszej w malej, odległej gromadzie. Wszędzie są ludzkie potrzeby, wiele pracy do wykonania, wszędzie są ludzkie serca i społeczna wdzięczność za sumienną robotę”. Słowa te oznaczają nie tylko przekonanie, że wszystkie odcinki pracy nauczycielskiej są jednakowo ważne, nie ma lepszych i gorszych szkół w naszej ludowej ojczyźnie, ale głębokie przywiązanie do zawodu nauczycielskiego, troskę o należyte jego wykonywanie. To jedna strona dawnego kompleksu zapłocia, który powodował odpływ oświatowców z dalszych, bardziej zafacowanych gromad, gdzie właśnie najbardziej byli potrzebni.

Nie ma co ukrywać, tym więcej, że przesilenie już następuje, druga strona „kompleksu zapłocia” ujawniała się w pewnym oportunizmie życiowym nauczycieli z tak zwanych „zapłocich” gromad. „Zapłocie” miało usprawiedliwiać brak pracy samokształceniowej, odległość od powiatowego miasta miała tłumaczyć, czemu to nasz bohater prawie nie czytał, nie znajdował czasu nawet na przejrzenie zawodowej prasy. Zapłocie usprawiedliwiała także i to, że nauczyciel reprodukoował rokrocznie ten sam kurczący się raczej niż rozszerzający zapasik wiedzy, nabytej kilka lat temu lub — co gorsza — kilkanaście.

Nurt życia umysłowego wezbrał mocno tego roku wśród dzieciaków tysięcy nauczycieli wiejskich. Wielu z nich mówiło na IV Krajowym Zjeździe ZZNP o konieczności intensywniejszej niż dotąd pracy nad sobą, użyciu do czytania literatury pięknej, politycznej i zawodowej, która przecie i na „zapłocie” dociera: Rosnące szybko w terenie kadry rozmaitych działaczy wyzwoiliły wiele czasu dla naszego nauczyciela. A on sam zrozumiał, że w każdej szkole, bez względu na jej geograficzne położenie, przekazuje młodzieży i starszym polską naukę, polską myśl postępową. I dlatego rusza tego roku energicznie do wyrównania braków, dopędzenia wartkiego biegu osiągnięć naukowych. Czyż można się tym nie radować?

Wiesław Jażdżyński



Roman Szczybień

KLEMENS OLEKSIK

„JA SIĘ CHCIAŁEM UCZYĆ“

(fragment powieści)



Rys. St. Szmidt

Woltarzu paliły się dwie świece. Powoli mrok obejmował cały kościół. Chórálny śpiew żałobnego psalmu przejął Daniela jakąś dziwną tęsknotą. — Jak ty sobie, chudziaku, dasz tam radę? — przypomniał sobie słowa matki. — Matka... Daniel aż drgnął. Tak cicho i niespodziewanie przypląsnęła jej wspomnienie. Siedzi teraz na ławce przed domem i obiera kartofle. Trzeba będzie wstawić kolację, bo ojciec przyjdzie z cegielni, a może chleba nie ma w domu? Kto pójdzie po chleb?... Kto teraz chodzi dla mamy po wodę? Przychodzą sąsiadki i pytają o Daniela: — Pojechał do klasztoru — odpowiada z dumą matka. — Będzie się uczył na księdza.

Pewnej jesieni Daniel poznał kolegę, który pojechał do gimnazjum. — Będę doktorem — powiedział do Daniela. — A ty? — Daniel nie wiedział co odpowiedzieć. Ojciec już wybrał mu zawód, ale Daniel nie czuł chęci do kowalstwa. Przecież sam kierownik szkoły mówił, że ma głowę do nauki. Bo bżówek tylko w swoim ulubionym zawodzie może dużo zrobić, inaczej zamarnuje swoje życie i ludzie też niewiele pożytku będą mieć z jego pracy. Ojciec niecierpliwił się na takie gadanie: akurat będzie cię kto pytał o to, czy ci się podoba, czy nie? Chcesz jeść, musisz pracować i dziękuj Bogu jeśli możesz zarobić, a nie grymas. Kierownik może tak mówić, takiemu Adamskiemu, który ma cegielnię wolno mieć fanaberie, ale nie biednemu wyrobnikowi.

— Słuchaj — powiedział pewnego dnia ojciec — ty tak w domu siedzisz nie możesz. Musisz się wziąć do jakiejś roboty. Byłem u Kusia... — Ja kowalem nie będę! Ja się chcę uczyć!

— Idź, ucz się — drwił ojciec — Tylko nie siedź mi na oczach. Twoja matka zapracowała się na takiego próżniaka, a ty siedzisz.

Adamski znowu obciął dniówkę i ojciec złościł się o byle co. Kręcił drzącymi palcami papierosa. Szło mu to bardzo niezgrabnie, bo trzęsły mu się grube, ciężkie ręce. Danielowi, który obserwował ojca spod oka, zrobiło się po nagle bardzo żal. Stary już jest, przepracowany. Dlaczego tak się uwijał na mnie?

Nadeszła matka. Daniel ujrzał ją przez okno, jak niosła zajdko bielizny, które zruciała w sieni. Weszła do izby, otwierając pot fartuchem.

— Muszę trochę odsapnąć. Zmęczyłam się — Uśmiechnęła się na ich widok. Zdawało się jej, że wreszcie doszła do porozumienia.

— Wiadomo — powiedział ojciec — ty dźwigasz gałgany, a gałgacie tyłka z ławy nie ruszy. Uczony, czyta książki. Dochowałaś się dzieci, nie ma co!

— Nie mruczabys, stary niedźwiedziu. — Radość zgłasza na jej twarzy. Znowu się kiocił. Jej drobna, potysowana w wielu zmarszczkami twarz zchmurzyła się. — Już nie mam do was zdrowia — westchnęła.

— Bo tak go sobie wychowałaś! — Wtedy Daniel wystąpił: — Już teraz ojciec będzie szczęśliwy. W domu nie będę już siedział. Pójdę z domu...

— Matka, ojciec, bracia, a teraz ciotka z Anią — wszystkie te postacie odchodziły w mglistą dal. Wyłudniało się w sercu Daniela.

Ocknął się, kiedy otworzyły się drzwi do referatorki. Wyszły z nich mężczyzna w wieku do lat czterdziestu, niski, o tłuściej twarzy, z lekką utyłajką na lewą nogę, z głową pochyloną w charakterystyczny sposób na prawe ramię. Kiedy zbliżył się do Daniela, ujrzał on dwoje oczu, z których każde jak gdyby należało do kogoś innego. Nie można było objąć ich za jednym spojrzeniem: pochłaniały uwagę patrzącego z osobną, przy czym oba unikały jak gdyby spojrzeń. Co było najbardziej zdumiewające, to właśnie to, że brat Tomasz, kucharz górecki, używał swoich oczu na zmianę. Mówiąc, kręcił głowę, podstawił ją albo jedno albo drugie oko. Przypominało to do złudzenia zachowanie się bociana na łące. Dokonuje on podobnych ruchów głową, zanim czerwny dziób wrazi nagle w zieloną trawę. Oczywiście pulchła twarz brata Tomasza w niczym go więcej nie przypominała.

Są ludzie, którym zawierzylibyśmy wszystkie swoje tajemnice od pierwszego słowa, od pierwszego wejrzenia. W stosunku do brata Tomasza Daniel uczuł niemal taką potrzebę. Na pytanie kim jest i co tu robi, powiedział całą historię przyjazdu do klasztoru, nie omijając kłótli z ojcem.

— Twój ojciec, mój maly, chciał tylko, żebyś przygotował się do życia już teraz. Jemu może, gdy był w twoim wieku, nikt nie potrafił poradzić. Chciał, żebyś zdobył zawód... — Ja się chciałem uczyć!

— Wiem, wiem o tym — pokiwiał głową brat Tomasz. — Ja także po to przecież do klasztoru przyszedłem. — Czy pan jest księdzem? — spytał Daniel.

— Jestem bratem zakonnym, kucharzem — odpowiedział brat Tomasz. — Chciałem być księdzem, ale... e, dajmy temu pokój — machnął ręką — to wcale nieodpowiednia chwila na to, żeby ci o tym opowiadać. Pobędziesz, zobaczysz, zrozumiesz więcej... Może ci kiedyś opowiem... A teraz, jeśli chcesz, pomóż mi w kuchni. Zjawiłeś się w samą porę, bo wszyscy dziś poszli na przechadzkę. Przygotujemy kolację. A nazywaj mnie bratem Tomaszem.

W kuchni było pełno słońca. Wesoło odbijało się na ścianach od czystości posadzek, na naczyniach kuchennych, na ścianie.

— Brat Tomasz podał Danielowi młynek od kawy, a sam krzątając się koło kuchni, mówił: — Tylko pamiętaj: nie za szybko i nie za wolno. Każdą pracę należy wykonywać dobrze. Wszystko, co człowiek czyni z dobrą intencją, jest najskuteczniejszą modlitwą. Nasi bracia chwalą Boga przechadzką, a ja — pracą w kuchni.

— To przecież nie jest wszystko jedno! — zawołał Daniel. — Przechadzką jest przyjemnością, a bracieczek aż się poci ze zniechęcenia.

Istotnie po twarzy brata Tomasza spływały kropelki potu. — Jak to zaraz widać, że z ciebie człowiek świecki, mój maly! — zawołał wesoło brat Tomasz. — Na to przecież jestem kucharzem, abym chwalił Boga tym, co umiem najlepiej.

Daniel pokręcił głową z niedowierzaniem. — A czy bracieczek nie umiałby tak samo jak wszyscy chwalić go na przechadzkę?

Brat Tomasz, zajęty pilnowaniem mleka, nie odpowiedział od razu. Dopiero nastawivszy olbrzymi kocioł na kawę, zwrócił się do Daniela: — Na tym świecie Bóg przeznaczył...

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

— A to kto? — spytał Daniel. — Nie wiesz? Ciało, które najpierw stworzył Pan Bóg. Ciało jest kościółem dla duszy, a o kościele nie trzeba zapominać.

— A ja myślałem — wyznał Daniel — że zakonnicy chodzą w wlosienicy, śpią w trumnach i codziennie leżą krzyżem, albo biczącą się. — Klemens Oleksik

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

czył każdemu jego miejsce. Moje jest przy kuchni. Zawzięcie stukał tasakiem, krojąc cebulę do kotletów dla O. Magistra. — To mój najokazalszy stółownik — uśmiechnął się — Zjada codziennie trzy kotlety i na pewno zjadby ich drugie tyle, gdyby się nie umart-

MARIA OSTROWSKA

W Bibliotece Wydawnictw Prasy

Dni Oświaty Książki i Prasy są zazwyczaj momentem podsumowania całorocznego dorobku w tej dziedzinie; czasem jednak trzeba sięgnąć dalej, omówić większy okres, jeżeli w dotychczas sporządzonych bilansach jakieś zjawisko nie zostało dostatecznie uwzględnione. Pozytywnie Biblioteki Wydawnictw Prasy zasługują napewno na dokładniejsze omówienie. Jest to przecież wydawnictwo, które w swym dorobku ma przeszło trzytysiąc tytułów, przeszło szesnaście milionów egzemplarzy dobrych, wartościowych książek.

Trzeba również pamiętać, że o znaczeniu BWP stanowi nie tylko ilość wydawanych przez nią książek, ale i ich jakość. W BWP ukazują się książki będące zazwyczaj najcenniejszymi pozycjami innych wydawnictw. Dobór tytułów kształtuje w dużej mierze zamówienie czytelników wyrażone wprost (listy, wypowiedzi, ankiety). O włączeniu książki do planu wydawniczego BWP decyduje komisja wydawnicza Wydawnictw Prasy oraz współpracujący z nią przedstawiciele partii, wydawnictw, krytyki.

Żeby jednak stwierdzenia te nie wydały się gołosłowne, należy przypomnieć, jakie książki wydała BWP. Już pierwsze pozycje Biblioteki Prasy — wtedy jeszcze rozbitnej na biblioteki poszczególnych gazet — wskazywały drogę, którą się potoczył jej rozwój: wydano utwory klasyków polskich (Mickiewicza, Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza, Kopcińskiego), książki radzieckie (Gorkiego, A. Tołstoja, Szolochowa, Polewoja, Ażajewa) oraz książki współczesnych autorów polskich (Neverlego, Strykowski, Bartelskiego, Wasilewskiego, Kruczkowskiego). Wydano również klasyków zachodnio-europejskich (Balzaca — „Ojciec Goriot”, „Eugenia Grandet”, K. Dickensa — „Klub Pickwicka”, „Opowieść wigilijna”, Zola — „Fortuna rodziny Rougonów”, „Germinal”, M. Twaina — „Podróż międzyplanetarna”) oraz

„Trybuny Ludu”, „Gromady”, „Gazety Pomorskiej”, „Gazety Krakowskiej”, „Chłopskiej Drogi” i innych. W r. 1952 nastąpiła reorganizacja i całkowite połączenie bibliotek poszczególnych pism w jedną Bibliotekę Wydawnictw Prasy (zachowano jedynie bibliotekę „Przyjaciółki”, „Sztandaru Młodych” i „Expressu Wieczornego”, ze względu na specjalny charakter tych pism). Pozwoliło to na układanie wspólnego, głęboko przemyslanego planu wydawniczego. Po tych zmianach nastąpiły również inne: każda książka została zaopatrzona w życiorys autora a, trudniejsze otrzymały wstęp krytyczny, zmieniła się szata zewnętrzna książek —

ciekawe pozycje postępowej literatury krajów kapitalistycznych (Fasta — „Dumni i wolni”, A. Beggars — „Siodmy krzyż”, „Ocalenie”, A. Stila — „Pierwsze starcie”, M. A. Nexo — „Ditta”). Ten szeroki wachlarz tytułów (a przytoczyłam tylko skromną część) wskazuje, że Wydawnictwa Prasy spełniają swoje zadanie, jakim jest dostarczenie szerokiego rzeszom czytelnictwu najwartościowszych dzieł przeszłości i współczesności.

Pisząc o tych osiągnięciach BWP, warto wspomnieć, że początki jej działalności były bardzo skromne. W końcu Planu Trzyletniego, a u początków Sześcioletniego, na rynku księgarskim panowała się niejednorodna miernota wydawnictw prywatnych, a wielkie wydawnictwa, jak „Czytelnik”, „Książka”, „Wiedza”, PIW, „Prasa Wojskowa” dopiero zaczynały swoją działalność. W tym okresie ukazywały się pierwsze wydawnictwa prasy partyjnej, które m. in. miały za zadanie zbliżyć czytelników do tej prasy, bardziej ich z nią związać. Wkrótce jednak zapotrzebowanie na książki okazało się tak wielkie, że musiały powstać odrębne jednostki mające na celu realizowanie wielkiego planu wydawniczego. Zmiany narastały stopniowo. Książki, choć wydawane centralnie, wychodziły w bibliotekach poszczególnych pism:

„Trybuny Ludu”, „Gromady”, „Gazety Pomorskiej”, „Gazety Krakowskiej”, „Chłopskiej Drogi” i innych. W r. 1952 nastąpiła reorganizacja i całkowite połączenie bibliotek poszczególnych pism w jedną Bibliotekę Wydawnictw Prasy (zachowano jedynie bibliotekę „Przyjaciółki”, „Sztandaru Młodych” i „Expressu Wieczornego”, ze względu na specjalny charakter tych pism). Pozwoliło to na układanie wspólnego, głęboko przemyslanego planu wydawniczego. Po tych zmianach nastąpiły również inne: każda książka została zaopatrzona w życiorys autora a, trudniejsze otrzymały wstęp krytyczny, zmieniła się szata zewnętrzna książek —

„Trybuny Ludu”, „Gromady”, „Gazety Pomorskiej”, „Gazety Krakowskiej”, „Chłopskiej Drogi” i innych. W r. 1952 nastąpiła reorganizacja

WŁADYSŁAW HALICKI

O SUWERENNOŚĆ WŁOCH, O POKÓJ

WŁOCHY dla turysty — tego zwiszcza, który kraj ten przemierza — to Koloseum i Forum, stare pałace Odrona, gorące słońce południa, palmy, winnice i gaje pomarańczowe. Wszystko to jest prawda. Ale nie stanowi istoty rzeczywistości.

Włochy — to kraj gęsto zaludniony, którego obecna produkcja rolna nie jest w stanie wyżywić wszystkich obywateli. Przemysł zaś, skupiony głównie na północnej części półwyspu, nie rozporządza dostatecznymi bazami surowcowymi dla swych wyrobów. Założenia te przesądają o konieczności rozwinięcia przez Włochy szerokiej wymiany towarowo-surowcowej z innymi krajami, przesądają o konieczności podniesienia produkcji rolnej.

Jednakże polityka chadeckiego rządu Alcida de Gasperi idzie konsekwentnie wprost w przeciwnym kierunku. W interesie monopolu amerykańskich, którym wielka burżuazja Włoch podporządkowała się całkowicie gospodarce i na skutek zobowiązań płynących z uczestnictwa w pakcie atlantyckim, gospodarka Italii została przekształcona bez reszty w tzw. gospodarkę kompleksarną. Na wzór kolonii stanowią uzupełnienie i teren ekspansji ekonomicznej USA. Towary amerykańskie konkurują skutecznie na rynku włoskim z rodzimą wytwórczością i powodują zahamowanie produkcji nawet typowych artykułów włoskich. Zalew rynku towarami z importu amerykańskiego powoduje więc szybki wzrost bezrobocia.

Smutny jest los podstawowej masy chłopów włoskich. Robotnik rolny tygodniami czeka na rynkach miasteczek południa ze słabą nadzieją, że może plenipotent obszarnika wynajmie go za kilka groszy do pracy w polu na parę dni. Bezrolny chłop, tzw. „mezzadro”, dziołbiący motyką dzierżawiony zagon splekanej od upału i nie nawodnionej ziemi równie dotkliwie odczuwa

feudalny wyzysk właściciela latyfundiów jak robotnik wyzysk fabrykanta.

Dla utrzymania władzy w swym ręku burżuazja nie waha się przed użyciem każdego środka legalnego czy nielegalnego. Mobilizuje cały aparat ucisku policyjnego, uruchamia bogaty wybór środków zachęty i zastraszania, sięga po mistyczną potęgę kłamstwa i błogosławieństw. Nie cofa się przed kłamstwem, potwarzą i fałszerstwem, jak tego dowodzą „dokumenty” umieszczone na słynnej wystawie w Rzymie.

Przed 5 laty chadecy poza „cudami” przy urnach tylko dlatego uzyskali większość głosów, że poczynili szereg konkretnych obietnic: podniesienia gospodarki kraju na wyższy poziom, rozwiązania problemu głodu ziemi na Południu, przeprowadzenia szeregu reform społecznych, a przede wszystkim zapewnienia pracy bezrobotnym. Obietnice te były tak dalece speczywane, że nawet ustalono ilość hektarów gruntów, podlegających wywłaszczeniu od obszarników i przydzieleniu chłopom. Ustalono kwoty budżetowe, przeznaczone na wielkie roboty publiczne i na podniesienie jakości gruntów uprawnych.

Mijały lata rządów chadeków, a obietnice nie zostały zrealizowane. Bezrobocie, którego zniesienie obiecywano, wzrosło jeszcze, a ilość bezrobotnych osiągnęła dwa miliony sto tysięcy osób. Reforma rolna pozostaje na papierze, tak że w wielu okęgach bezrolni chłopci, nie zważając na krwawy terror policyjny, sami okupują leżącą odłogiem ziemię obszarników.

Ogólne pogorszenie sytuacji ekonomicznej w kraju, nie spełnienie obietnic rządu, terror policyjny znieadowolonego ministra spraw wewnętrznych, Scelby, panoszenie się żołnierzy amerykańskich „w odstąpionych” USA bazach w Livorno, Augustie i Neapolu podkopały tak dalece zaufanie do rządzących kła-

rykałów, że w wyborach samorządowych w 1951 i 1952 r. ci stracili około 4 milionów głosów.

Z tych też powodów w ostatnich dniach marca przy pogwałceniu wszelkich przepisów proceduralnych i mimo stanowczego oporu komunistów i sprzymierzonych z nimi lewicowych socjalistów została preforowana przez reakcyjną większość izb ustawodawczych nowa ordynacja wyborcza. Przepisy jej przewidują premię w ilości 14 proc. dodatkowych mandatów dla tej partii politycznej, która otrzyma w wyborach 50 proc. + 1 głosów wyborców. W ten sposób przy zastosowaniu nowej ordynacji skład polityczny parlamentu nie będzie odbicie poglądów narodu, gdyż znaczną ilość głosów, złożonych na listy różnych stronnictw, przepadnie na rzecz tej partii, która uzyska 50 proc. + 1 głosów wyborczych.

Metody stosowane przez partię chadecką przy preforowaniu nowej ordynacji oraz faszystowskie zasady tej ustawy wywołały ze strony włoskiego świata pracy niespotykaną dotąd falę oburzenia i protestu. Wyraziło się ono w masowych strajkach, wyraziło się w pieśniach ludu, który śpiewa:

Głos jednego klechy, czy kleszego parobka
Zrównano z głosami dwóch uczących ludzi.

Mimo że 16 partii i ugrupowań zgłosiło swe listy kandydatów do parlamentu, właściwa walka wyborcza rozgrywa się pomiędzy dwoma kierunkami politycznymi. Z jednej strony — reprezentantkami właściwych interesów narodu, Komunistyczna Partia Włoch oraz sprzymierzeni z nią lewicowi socjaliści, z drugiej — zasobna w środki materialne, w czynne poparcie Watykanu i Waszyngtonu, oparta na terrorze policyjnym — Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna.



Rys. Kukryniksy

Partia Komunistyczna szła do wyborów z jasno ujętym programem: Uzyskanie gwarancji pokoju dla Włoch i utrzymania przyjaznych stosunków ze wszystkimi narodami świata, obrona ustawy konstytucyjnej i wprowadzenie w życie przewidzianych przez nią reform społecznych, nacjonalizacja wielkich monopolistycznych przedsiębiorstw, rozwój przemysłu narodowego celem zwalczania klęski bezrobocia, przeprowadzenie prawdziwej reformy rolnej, sprawiedliwe rozłożenie ciężarów podatkowych i rozpoczęcie masowego budownictwa mieszkaniowego.

O realizację tych zadań walczą będą w parlamencie deputowani komuniści i socjaliści.

Z drugiej strony w imieniu Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej sformułował jej program Alcide de Gasperi. W przemówieniach swych usiłował on przemilczeć wszelkie nie spełnione obietnice sprzed 5 lat. Na wiecach wyborczych perfidnie rozczłapał przed słuchaczami obłudny obraz rzekomego dobrobytu, jaki „pomoc” amerykańska ma

przyniesić Włochom. Podobnie jak w 1948 r. demagogicznie obiecywał, że chadecki rząd przekształci prowincje południowe „w krainę miodu i mleka”. Zapowiadał nadto zwiększenie kwot emigracyjnych do krajów zamorskich, co jego zdaniem jest jedynym „ratunkiem” dla bezrobotnych i ich rodzin. Rozdęty bluff polityczny de Gasperi’ego ma na celu obronę interesów burżuazji, wielkich właścicieli ziemskich i fabrykantów, którzy zaprzędają swój kraj monopolistom z Wall Street.

Odbywające się dziś we Włoszech wybory nie są wolnymi wyborami. Dolarowa propaganda, kłątwy kościelne i krążące po ulicach samochody pancerne zrobiły spory nacisk na umysły niemałej liczby obywateli udających się do lokalów wyborczych. Nie bacząc jednak na wszelkie środki presji miliony patriotów włoskich, prostych i uczciwych ludzi pracy, popierając kandydatów komunistycznych i socjalistycznych wypowiedzą się dziś stanowczo za prawdziwą demokracją, za niezależnością swego kraju i za pokojem

Władysław Halicki

FRANCISZEK ZAWADA

„ZIELONA PUŁA”

zawsze znaczny brak rąk do pracy. Ale burżuazyjni tygodnik parowski „Temoignage Chretien” mówi obecnie o milionie „zbędnych” ludzi na wsi francuskiej. We Włoszech miliony hektarów leżą odłogiem, a równocześnie 2.000.000 bezrolnych musi walczyć o ziemię i c’leb w zacofanych prowincjach południowych. W dolinie Padu, której ziemia słynie ze swej żyzności, 300.000 chłopów węguje w straszliwej nędzy. Podobnie rzecz się ma i w innych krajach Europy Zachodniej.

Ale to wszystko nie wystarczy jeszcze uganiającym się za maksymalnymi zyskami miliarderom z Wall Street. W obliczu pogłębiającego się w USA kryzysu rolnego imperializm amerykański usiłuje zmusić swych satelitów, by nabyli jego kolosalną „nadwyżkę” pszenicy i innych produktów rolnych, dla których nie ma zbytu wskutek ogólnego zubożenia podstawowych mas ludności USA.

To było jedną z przyczyn, które skłoniły dolarowych agresorów do zwołania w Paryżu konferencji dla zorganizowania tzw. europejskiej puli żywnościowej. Oficjalnie mówi się o „zlikwidowaniu w handlu między krajami zachodnio-europejskimi opłat celnych i innych ograniczeń importu produktów rolnych”. Ma to umożliwić królom zboża za oceanu niczym nieskrępowany wzrost eksportu artykułów rolnych do Europy Zachodniej. Na konferencji mówili się też o „utworzeniu wspólnego organu, którego funkcje obejmowałyby regulowanie rozmiarów produkcji

rolnej w poszczególnych krajach, koordynowanie ich eksportu i importu oraz ustanowienie jednolitych cen na artykuły żywnościowe”. Rzecz jasna, że na cele tego organu mieli stanąć przedstawiciele trustów amerykańskich, których główną troską byłoby zaważanie rynków zachodnio-europejskich produktami amerykańskimi po cenach dyktowanych przez Waszyngton.

Na konferencji mówili się wreszcie o „tworzeniu zapasów rolnych, niezbędnych w wypadku wojny”. Chodzi konkretnie o przeznaczenie znacznej części budżetów państw satelickich na zakup amerykańskiego zboża. To marnotrawstwo funduszy ze strony i tak zrujnowanych państw zachodnio-europejskich jest perfidnie przedstawione jako transakcja niezbędna dla „obrony” tych przez nikogo nie zagrożonych państw.

Stowem, pod przykrywką unii celnej i ustalenia „jednolitego” rynku na żywność w krajach zmar szaliowanych kryją się plany dalszej ekspansji imperializmu amerykańskiego na kapitalistyczną część Europy.

O podobnej unii celnej w zakresie produktów rolnych mówili niedługo twórcy projektu Paneuropry spod znaku Frianda. Było to w okresie, kiedy Francja rościła sobie pretensje do hegemonii w gospodarce europejskiej. To samo w latach drugiej wojny światowej projektowały Niemcy hitlerowskie, poparte przez lawałów i innych quilingów. A dziś w nowej sytuacji wraca stara koncepcja, obnażając jak nigdy swe istotne oblicze.

W myśl zreferowanych na konferencji planów produkcja rolna Niemiec zachodnich ma być zredukowana do minimum. Jak wiadomo, plan Schumana zapewnił już poważny wzrost produkcji wojennej Krupów i Thyssenów. W zamysłach mówów stanu Waszyngtonu

ni Niemcy zachodnie mają stać się arsenałem wojennym i głównym dostawcą żołnierzy i kadr dla planowanej armii „europejskiej”. Reszta krajów marszallowskich zdanien projektodawców zielonej puli, powinna stopniowo likwidować swój przemysł i przekształcić się w dodatkowy surowcowo- agrarny do Niemiec zachodnich. Ale nawet produkcja rolna tych krajów powinna być tak „uregulowana”, aby Europa Zachodnia mogła stale wchłaniać lwią część gromadzących się w USA niemiernych rezerw zboża, dla których trusty amerykańskie nie znajdują zbytu.

Pierwsze próby podjęte przez konferencję paryską skończyły się zupełnym fiaskiem. Wśród krajów wasalnych narosło zbyt wiele sprzecznosci. Nawet ultrareakcyjnym kołom rządzącym Francji, Belgii, Danii itd. nie przypada do smaku myśl o przekształcaniu tych państw w zaplecze dla wosku przemysłowców Niemiec zachodnich. A wobec rosnącego oporu ludów rządom państw satelickich coraz trudniej jest iść na dalszą redukcję swej gospodarki narodowej przy jednoczesnym wzroście importu ze Stanów Zjednoczonych.

Masy ludowe Europy Zachodniej w sposób coraz bardziej stanowczy walczą przeciw kolonizującym ich krajom trustom jankesowskim. Domagają się przywrócenia normalnych, a tak korzystnych dla Europy Zachodniej stosunków handlowych z krajami obok pokoju, które traktują wszystkie państwa na stopie równości. Dumne narody Europy Zachodniej mają dość niewoli amerykańskiej, która przynosi im nędzę, ruiny oraz groźbę faszystów i nowej wojny.

To również jest kardynalną przyczyną niepowodzenia „zielonej puli” — czy raczej „zielonej petli”.

Franciszek Zawada



ROSNĄCA zależność państw zachodnio-europejskich od Wall Street odbija się coraz gorzej na gospodarce tych krajów. We Francji wali się na lew b szyje wskaźnik produkcji. We Włoszech przemysł krajowy pracuje w 60 proc. swych możliwości. W Niemczech zachodnich, Belgii, Francji i Włoszech miliony bezrobotnych nie mają nadziei na pracę. Podczas gdy portfele monopolistów amerykańskich pęcznieją i rosną dywidendy dopuszczonych do spółki za cenę zdrady narodowej kapitalistów Paryża, Rzymu i Zagłębia Ruhry następuje szybkie ubożenie szerokich mas ludowych.

Wskutek spadku siły nabywczej rzesz robotniczych kurczy się rynek wewnętrzny na artykuły rolnicze w krajach zmarzhalizowanych. A na zwożonym rynku rodzimie rolnictwo natrafia na konkurencję produktów zza oceanu, które satelici USA muszą na żądanie Waszyngtonu importować w dużych ilościach. Francja więc im-

portuje zboże amerykańskie, a ograniczeniem podlega jej własna powierzchnia uprawna pszenicy. Do Włoch idzie masowy eksport proszku cytrynowego i pomarańczy kalifornijskich a włoskie pomarańcze i cytryny nie mogą znaleźć nabywców na rynku wewnętrznym. Nie mogą też iść na eksport do krajów Europy Wschodniej, bo według nomenklatury speciej amerykańskich jest to również „artykuł wzmagający potencjał zbrojeniowy”. W Niemczech zachodnich gnily jesienią kartofle na polach, bo amerykańskie zaważyły rynek.

Tak pomysłana „pomoc” podcina był milionów mało- i średniolnych chłopów we wszystkich krajach Europy Zachodniej. Postępująca ruina i nędza podstawowych mas chłopskich sprawia, że we Francji w ciągu ostatnich tylko pięciu lat blisko 1 milion hektarów ziemi przeszło z rąk drobnych rolników do wielkich kapitalistów wiejskich. Powszechnie wiadomo, że rolnictwo francuskie odczuwało

OTWIERAJĄC NARADĘ

(Dokończenie ze str. 1)

kulturalnym Samopomocy Chłopskiej, ZMP, Ligi Kobiet, TPP-R oraz innych organizacji społecznych i kulturalnych. Ze powstały i pracują Komisje KO, Rady Książki i Czytelni, że świetlica staje się nie tylko potrzebą terenu, gromady, gminy, lecz troską rady narodowej i organizacji społecznych, przedmiotem dumy pracownika oświatowego i nauczyciela.

„Rzecz prosta, że teza o „barometrze idącym w górę” — nie może nas usypiać i przesłaniać nam braków i błędów w naszej pracy. Istnieją one i teraz i należy je jasno widzieć.

Mimo jednak tych niewątpliwie jaskrawych braków i błędów dojrzelismy już na tyle w swojej pracy i mamy na tyle poważne osiągnięcia, że nadchodzi czas, żeby przemyśleć i przedyskutować sprawę nowych zadań i nowych metod pracy.

Sądzą że dojrzała już do decyzji sprawa otwarcia jeszcze w tym roku nowych kilkuset gminnych świetlic wzorcowych, rozszerzając ich lokalizację zarówno na współdzielone gromady jak i na te gromady, które dopiero stają w ogniu uporczywej walki o socjalistyczne oblicze wsi polskiej.

Sądzą również, że dojrzała sprawa żeby plan zakładania i budowania nowych świetlic gminnych tak rozłożyć w czasie, by do końca Planu 6-letniego nie było w Polsce

Ludowej żadnej gminy bez świetlicy wzorcowej. Sądzą też, że czas już podnieść liczbę Powiatowych Domów Kultury do blisko 100, czyniąc je w ten sposób zasadniczym ogniwem pomocy instrukcyjnej i metodycznej dla świetlic gminnych.

Sądzą też, że można postawić sprawę, by w oparciu o nowe kadry i nową artystyczną inteligencję wiejską zaczęły stopniowo powstawać po gminach o wyrobionych tradycjach kultury regionalnej trzyletnie ogniska muzyczne i plastyczne, podbudowujące pracę świetlic, zespołów i twórców ludowych.

Sądzą również, że dzisiejsza narada — w oparciu o analizę błędów, doświadczeń i osiągnięć — winna przemyśleć sprawę udziału świetlic wiejskich w dwóch wielkich akcjach politycznych: akcji wyborów do Rad Narodowych i w akcji masowych obchodów, związanych z rokiem Dziesięciolecia Polski Ludowej, to jest rokiem 1954 — 1955.

Stworzyliśmy zręby bazy organizacyjnej i umocniliśmy je. Od tego zjazdu znowu zaczynamy iść organizacyjnie naprzód. Lecz musimy iść naprzód, zawsze pamiętając, że w pracy kulturalnej decyduje nie ilość, lecz jakość. Decyduje człowiek, którego codziennie w pracy swojej wychowujemy. Bitwa o jakość naszej pracy, o

socjalistyczny sens pracy wychowawczej i kulturalnej — o zaszczepienie w człowieku wiedzy, kultury i sztuki — oto główne hasło obecnego zjazdu, zwłaszcza że dziesięciolecie Polski Ludowej stawa przed nami wielkie zadanie udostępnienia całemu społeczeństwu wiedzy o Polsce Ludowej, o jej osiągnięciach, o jej kulturze i sztuce.

Chciabym, otwierając Naradę, wyrazić przekonanie, że dzwigniemy i zrealizujemy to wielkie zadanie, postawione przed nami, pamiętając zawsze o dwóch zasadach każdej wielkiej, społecznej i kulturalnej akcji: o sprawności organizacyjnej naszego aparatu o żarliwym i upartym stosunku do każdej sprawy, która jest sprawą honoru i godności Partii, Rządu Ludowego i narodu. I pamiętając o wielkich, niewyczerpanych możliwościach, tkwiących w gromadzie, w kolektywie, w którym się pracuje i z którego czerpie się swoje siły.

Najlepszy organizator nie nie znaczy, gdy nie obrasta co dzień i co godzina w kolektyw, w wielki kolektyw twórczy, w jego talenty, w jego zapal, upór, wolę i zwycięstwo. Od tego zależy zwycięstwo sprawy budownictwa socjalistycznego, wychowania nowego człowieka, walki o Pokój i Socjalizm

Włodzimierz Sokorski

Kronika radziecka
GAZETA I PISARZ

W jednym z ostatnich numerów „Literaturnej Gazety” znajdujemy szereg ciekawych wypowiedzi pisarzy radzieckich na temat współpracy z gazetą codzienną i znaczenia tej współpracy w warsztacie pisarza.

Zagadnienie to było stawiane i u nas. Niesłusznie postulaty nie zostały w pełni zrealizowane. Ciągłe jeszcze za mało spotykały w dziennikach tzw. małych form literackich (feuilleton polityczny, reportaż, małe opowiadanie, znaczna część pisarzy, nieustannie stroni od współpracy z gazetami, uważając tę gałąź twórczości za coś „niższego”; z drugiej strony dzienniki nie zawsze potrafiły dbać o ściśły kontakt z pisarzami, o ich współpracę.

Typzako „mała forma” w piśmie tygodniowym czy codziennym ma do spełnienia obciążenie zadania politycznego, upowszechnia literaturę, pomaga narodzinom nowym talentom z ludu. Od korespondentów pisma napływają nieustannie wiadomości i obserwacje z terenu. Na szpaltach gazet czy periodyków pierwsze nowelistyczne obrazy chłopów czy robotników sąsiadują z prozą znanych pisarzy. Czytelnicy, debiutujący autorzy, uczy się od znanych pisarzy mistrzostwa sztuki literackiej dzięki gazetce poznają lepiej teren, jego potrzeby i bieżątki.

Warto podkreślić, że takie założenie lego u podział bolszewickiej prasy, stworzonej przez Lenina i Stalina i przyswożone wielkimi wychowawcami proletariackich pisarzy, Maksymow Gorlkowem, w okresie redagowania przez niego przedrewolucyjnego „Pudziernikowa” czasopisma „Gwiazda”, „Wiedza”, „Kronika”, a szczególnie później, w okresie władzy radzieckiej.

„Postępowi robotnicy powinni posiadać sztukę pisania” — zalecał Stalin jeszcze w r. 1908 w gazecie „Pravda” bakinśki. A we wspólnym numerze do pierwszego numeru „Pravdy” z maja 1912 r. Stalin pisał: „Należy robotnikom mówić, że „nie przywykli” do pisania, robotnicy literaci nie spadają gotowi z nieba, wyrabiają się powoli, w toku pracy publicystycznej. Należy tylko odważnie przystąpić do dzieła, w tym razie się pokusisz, a później nauczysz się już pisać”.

„Pravda” odegrała obywatelską rewolucyjną rolę w walce o literaturę realizmu socjalistycznego związaną z życiem i walką wielomilionowych mas pracujących. W tym okresie „Pravda” opierała się na najdalszych zakątkach Rosji, dziennik wspomagał i skupiał talenty z ludu, przejawiając się zarówno w postaci selekcyjnej korespondencji jak i w formie oryginalnej twórczości artystycznej.

W roku 1914 dzięki staraniom „Pravdy” utworzono „Związek pisarzy proletariackich”. Jego twórcami byli robotnicy i chłopci. Zbiór ten powstał w wyniku współpracy gazet z czytelnikami i stanowił jaskółkę przyszłej literatury radzieckiej, ujawniał obywatelskie twórcze możliwości tkwiące w wielomilionowych masach ludowych.

Dzisiejsza prasa radziecka kontynuuje te chwalebne, rewolucyjne tradycje. Na łamach czołowych dzienników radzieckich „Pravda” czy „Izwestia” znajdujemy często małe opowiadania „Ogniók”, wstąpił z konkursem na opowiadanie napłynęły liczne zgłoszenia, najlepsze prace konkursowe zostały wydrukowane w tygodniku.

W ten sposób prasa radziecka pomaga i literaturze i nowym talentom z ludu. Dlatego też redakcje pism i sami pisarze dbają troskliwie o stałą współpracę.

W tej trosce redakcja „Literaturnej Gazety” zainicjowała wspomnianą już dyskusję na temat „Pisarz i Gazeta”.

Posłuchajmy wypowiedzi znanych pisarzy radzieckich. „Udział pisarza w pracy gazety — pisze Anna Karawajewa — to jedna z najdawniejszych i najbardziej szlachetnych tradycji naszej komunistycznej prasy”. Pięta gazeta, sześciogodzinna, w rękach i pachnąca drukarską farbą, przynosi jak gdyby ze sobą ochłenie aktywnych i dojrzalszych wydarzeń z różnych stron świata. Bywał wypadek, iż rzynek stracił światła. Bywał wypadek, iż rzynek stracił światła. Bywał wypadek, iż rzynek stracił światła. Bywał wypadek, iż rzynek stracił światła.

Jednakże pisarz w żadnym wypadku nie czuje się swobodnie, nie posiada swobodę, twórczej pracy. Publicystyczne wyznaczenie pisarza co do swego kierunku i uczuciowego charakteru się pokrowe całej duchowej naturze pisarza. Wyraz i metody pracy są różne, ale pierwiastek ten sam: pisarz musi być w stanie chwili nasze społeczeństwo i całą postępującą ludzkość.

Kiedy pisarz występuje w gazecie, czuje, że uczestniczy w opracowywaniu ważnych zagadnień, wysuwanych co dzień polityką państwa, w obywatelskim świadczeniu, czy to nowa będzie o osiągnięciach w pracy naszej sławnej klasy robotniczej czy o kolechożnym chłopstwie. Trudna gazeta łączy pisarza tyśmiatki nocy z kłopotliwym, dalekim masami pracującymi w całym świecie — konczy Anna Karawajewa.

Hans Lebercht powiedział: „Nie tak ściśle nie wiąże pisarza z żywym, tetniającym życiem jak współpraca w gazecie, szczególnie w korespondencji”. Tu pisarz ma możliwość wprost uczestniczyć w wydarzeniach, wpływać na życie, zmieniać je.

„Nie mogę nie wspominać z uczuciem wdzięczności o tej pracy w republikanckich gazetach w okresie, gdy podlegałem po Estonii w charakterze lotnego korespondenta. Miałem wtedy setki najciekawszych spotkań i znajomości wyobcagających mnie jako pisarza wiedzą o życiu i Czysto w republikańskim stylu, cześć powstawały artykuły i felietony obrazujące te czy inne braki, albo ujawnienie zjawiska w budowie nowego życia. Jakie ogromnie obywatelskie zadowolenie miał autor, kiedy spotykał się z reakcją czytelnika.

Gazeta popularyzuje piórem pisarza portrety i opowiadania ludzi naszego kraju. Bywa też i tak, że bohater gazetowy kładzie się w łóżko, gdy podlegał po Estonii w charakterze lotnego korespondenta. Miałem wtedy setki najciekawszych spotkań i znajomości wyobcagających mnie jako pisarza wiedzą o życiu i Czysto w republikańskim stylu, cześć powstawały artykuły i felietony obrazujące te czy inne braki, albo ujawnienie zjawiska w budowie nowego życia. Jakie ogromnie obywatelskie zadowolenie miał autor, kiedy spotykał się z reakcją czytelnika.

„Gazeta — pisze Michai Łukonin — rozpoczyna nas dzień jak fabryczna syrena. Jak produkcyjna naradą ogromnej radzieckiej rodziny pracujących na kółkach rolnicy podsumowujące naszą działalność, który kłopotliwy zapamiętany, dzielimy się doświadczeniami, usłuwadamy sobie lepiej nasze zadania. Trudno wymienić imię pisarza którego twórczość dwoga omielały gazety, który nie współpracowałby z dziennikiem”. Łukonin wysunął postulat: „Zwiększcie narad redakcji pism z czytelnikami”.

Lew Niklin oświadczył: „Gazeta to związek z życiem”. Oles Gonczar podkreśla: „rozpoznaki charakter zespołu twórczego kłopotliwy numer gazetki. Dziennikarz i pisarz, nauczyciel i agronom, stajemy się swymi doświadczeniami na szpaltach gazet”.

Wypowiedzi pisarzy radzieckich pozwalają i nam zrozumieć głębiej znaczenie współpracy pisarzy z prasą codzienną.

Grzegorz Timofiejew

PIOTR WYROBEK

Kiedyś i dzisiaj

Ufają starzy, że kultura nowa ich dzieci — wnuki — inaczej wychowa. Skończyło się dawne „wychowanie” biciem, głupiało dziecko — dziś cieszy go życie.

Gdy wspomnę sobie na dzieciństwo „sielskie”, jak bawiły się nędznie dawniej dzieci wiejskie, w dni słotne bosy za bydem hasały, okryte workiem — innego okrycia nie miały.

Dziś wiejskie dziecko inaczej wygląda, nowa kultura do niego zagląda, po powrocie w dom, gdy mu czas pozwala, w świetlicy spędza — tam się rozwesela.

— Dzieci moje żyły też w podłych warunkach piłkę zmacniając goniąc po podwórkach, lecz wnuczkom dopiero, onym się powodzi, trzyletni malec do przedszkola chodzi. Choć ma zabawki, książki w przedszkolach — jeszcze co tydzień o „Świerszczyka” woła — drugi znów starszy o „Płomyzka” prosi — rób co chcesz — wydad i ostatnie grosze.

Piotr Wyrobek, najstarszy korespondent chłopski, liczy 82 lata.

WACŁAW PALIK

WIDZOWIE KIN WIEJSKICH

PISZE sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej z Dobrzycy Starej, Stefan Miarka. Określa sytuację w swojej gromadzie. Leży ona 7 km od gminy Starogard Łobeski. Rodzin 26. Powstała tam spółdzielnia produkcyjna 9 marca br., członków 18 (typ. I B). Praca rozwija się znakomicie. Dlaczego? Na to pytanie daje odpowiedź tow. Miarka nie tylko nam, przede wszystkim sobie.

Po pierwsze — przewodniczącym jest Piotr Drozdal — członek partii. A jaki to członek? „Jego strasznie wzruszają książki, nie ma w punkcie bibliotecznym takiej, której by nie wyczytał, także samo z filmami, całą noc by przesiadywał, śpiąc bez zmrúżenia powiek”.

Oto pochwała przewodniczącego spółdzielni i członka partii, jaką wydaje mu sekretarz w gromadzie. Działanie? Na to pytanie daje odpowiedź tow. Miarka nie tylko nam, przede wszystkim sobie.

Ostatnim bodźcem stał się film „Dziewczęta górą”. Oglądała go jak zawsze cała gromada. Dlaczego cała?

Bo — po wtóre — dorobiła się aktywność kulturalna. Tow. Miarka z satysfakcją wylicza najlepszych czytelników. Drozdal Piotr i Józef, Mariana Zawadzka, Helena Stróciakowa, Helena Fraja. Na tej liście przodują kobiety. Ma to polityczne znaczenie niemałe.

Po trzecie bowiem — na zebranie gromadzie każdy chętnie przychodzi... skoro kobiety są zagitowane i na zebraniach ludzie mogą posłuchać ciekawych rzeczy.

Po czwarte — stale kina znajdują się w Starogardzie, ale od dawna Dobrzycę uprawadają zwyczaj wyślania podwójt do aparaty kinowe, aby oglądać w siebie filmy. Od dawna też zaobserwowano film. Miarka, że ci co „sprzyjają filmom” również dużo czytają. Takich można przekonać, tacy potrafią agitować, a we wspólnej pracy „widzą radość i ideę”.

Po piąte — nawet do najstarszych — nie książka — ale właśnie film potrafił dotrzeć. Ponad 70 lat liczący Paweł Dobrucki zawsze przykuśtyka na nowy seans i „strasznie mu dziwno, że on w swoich latach może jeszcze takie cuda oglądać”. Staroego zagitowali, a teraz dziadek robi taką propagandę, że cała gromada na każdym filmie.

Po szóste — „w naszej wsi jest punkt biblioteczny i gazety docierają codziennie, bo mamy silnego naczelnika poczty w Starogardzie”.

Pisze traktorzysta POM w Bralinie (pow. Kepno), Bogdan Walerowicz. Za pióro chwycił dlatego, że kiedy oglądał film „Dziewczyna i traktor”, a było to w kwietniu, gdy zaczynały się wiosenne siewy — film, jak powiada — „nie chwycił”. Dlaczego nie miał powodzenia, kiedy jemu bardzo się podobał? „Nastawił mnie do pracy i napelnił dumą”.

Więcej, wzmógł czujność polityczną. Pomógł na nowo i jasno uchwycić bieg walki klasowej. Walerowicz dostrzegł, że w jej wirze znalazło się kino nie tylko jako narzędzie rewolucji, ale również jako przedmiot ataku wroga. Bralin liczy 1600 mieszkańców, w tym cztery matorolnych i robotników, sporo średniorolnych i niemało inteligencji pracującej. „Do kina uczęszcza najczęściej ludność robotnicza i młodzież. Inteligencja rzadko, bo filmy tutaj wyświetlane jej nie odpowiadają. Czasem idzie na takie, które przypominają znane jej książki — Balzaka, Stendhala, Hugo itp. Sporo jest wsi chłopów, którzy jeszcze nie byli w kinie ani razu. Ci, co wcale albo rzadko chodzą, nie bywają też w świetlicy, nie czytają książek, a nawet gazet, choć jest biblioteka gminna, świetlica oraz prasa dla wszystkich dostępna”.

Walerowicz widzi w tym ukrytą robotę. Kiedy w okolicznych wsiach (zarówno indywidualnych jak w spółdzielniach) oczekują na przyjazd kina, tutaj, w Bralinie, część chłopów trzyma się z dala od kina, jak od diabła. Bywało, że kiedy po domach roznoszone bilety do sprzedaży — wielu z tych, co kupili, na film nie poszło. Wróg działa, ale na krótką metę. Wywołał wśród obalających przekonanie, że zobaczą film, to prawie tyle, co zdecydować się na spółdzielnię. Oczywiście nonsens. Ale to przetrzymywanie chłopów poza kinem doprowadzi w rezultacie do tego, że kiedy wreszcie wstąpią do kina i zobaczą „Kawalera Złotej Gwiazdy” albo „Wesoly jarmark”, wyjdą jako zwolennicy spółdzielni.

W Bralinie nie tylko trzeba wzmoczyć czujność wobec wroga. W Bralinie trzeba również wzmoczyć pracę kulturalno-oświatową. Scharakteryzowana przez Walerowicza

Wacław Palik

STEFAN OLEJNIK

ŻONA - PRZODOWNICA

Moja żona-przodownica, a mnie trapi dola gorzka; żonką powiat się zachwyca, mnie zaś zna zaledwie wioska.

Za wysokie plony pszenne Moskwa żonę ciągle gości, Żona jeździ tam bezę mnie... Czyż to powód do radości?

Biorę raz na chybił trafił jakiś dziennik — to tak, ona! Śmieję się do fotografii mówiącej wszystkim: moja żona!

Wszyscy chłopcy i dziewczęta do mej żony piszą listy. Pochwał człowiek nie spałmiał! O mnie — ani jednej myśli.

Nieraz że ściśniętym sercem adresem odpowiadam. Kleję znaczek na kopercie i sam list na poczcie składam.

Aż zgniewałem się nareszcie, bo naturę mam ambitną! Dajcie traktor! Ze mnie bierzcie także normy miarę szczytną!

Dziś się nami wieś zachwyca, taka sława do nas przysłała: z żony znana kołchoźnica, ze mnie — głośny traktorzysta!

Przełożył GRZEGORZ TIMOFIEJEW

WACŁAW KOSBUCKI

O POMOC PGR

W Labędziowie (23 rodziny) mamy świetlicę gromadzką, wyremontowaną przez PGR, które łączy się ze wsią i posiada drugą swoją wianą świetlicę. Dwa grzyby w barszcz jak mowi przysłowie. I dobrze mowi. Bo dwa wspańiałe budynki, a praca w nich słaba.

Co się na taki stan rzeczy złożyło? Po pierwsze — brak artystycznych bodźców z zewnątrz. W gminie naszej nie ma żadnego zespołu artystycznego. Nie odwiedzają nas teatry ani wesole mastezka Artosu, ani artystyczne zespoły TPD, wojska czy Roszarni Lnu. Od 1946 r. był raz Artos (4-osobowy), raz zespół z Roszarni Lnu i dwa razy — z Jednostki Wojska Polskiego. Ostatnio (na akademii 1-Majowej) wystąpił u nas zespół z gminy Golin (pow. Bartoszyce) — 15 panienek i jeden harmonista. Było czego posłuchać. Nasz magazynier zakochał się w tych piosenkach, przykmyka teraz oczy i nuci bez przerwy „Zdrastuj, milaja Marjusia” albo „Eto było wiecierom. Dla nas zba ruskie piosenki mają szczególną wymowę. Budzą w nas żagrzebania w pracy poezję życia, jakieś dziwnie piękne nastroje. Mymy tam w okresie wojny zdobywali odznaczenia w sowchozach i kolchozach. Nie odwierścił jednego od drugiego. Słowem, odczuliśmy silny bodziec, aby muzykę i śpiew rozwinąć w gminie. Mamy bowiem dużo młodzieży zorganizowanej w ZMP i SP. W PGR (Labędziowo) są możliwości na zespół artystyczny, komitet redakcyjny gazetki, komitet współzawodnictwa pracy, komitet audycji przy radiowej! Ale możliwości te nie zostały dotąd wykorzystane. PGR walczy o podniesienie wydajności, lecz bez uwzględnienia pracy kulturalnej, a przecież bez niej nie można sobie wyobrazić zwycięskiej walki o urodzaje o nowatorstwo, o nowego człowieka.

Po wtóre zatem trudności naszego życia świetlicowego tkwią na miejscu.

Nasza wioska, gdzie kluje się spółdzielnia produkcyjna, powinna być rozruszana i wychowana przez PGR. A tymczasem... Wspomnę taki fakt. Jako korespondent do gazet w 1952 r. zgłosiłem się do towarzysza Słowika, dyrektora zespołu naszych PGR (17 gospodarstw). Chciałem dowiedzieć się, ile wydaje hektar nowozasianej trawy, ilu ludzi bierze udział w współzawodnictwie, jak się je popularyzuje, jakie zostały podjęte i jak wykonane zobowiązania.

Dyrektor oznajmił mi, że PGR-y mają swoich korespondentów, zatem wsiskam nos w nie swoje sprawy. Nie dogadaliśmy się, bośmy się nie zrozumieli. To znaczy — nie została zrozumiana moja inicjatywa. Wprawdzie w kilka dni potem przez sekretarkę przekazał mi na piśmie suche cyfry, ale nie o taką idzie współpraca. Ja może wiem o niektórych szczegółach więcej niż sam dyrektor. Pracowałem 2 lata w tym PGR. Znam wszystkich ludzi, ich nastroje, dumę, radość i smutki. I jako wioleolnietniemu aktywnie w wsi szło mi o to, aby po dać rekę dawnym kolegom, przedstawić ich w prasie z zewnątrz, jak są widziani, co znaczą ich osiągnięcia dla indywidualnych chłopów z gromad. Szło mi o to, aby w zestawieniu naprzem ukazać wieś i PGR, aby pchnąć razem sprawę opieki PGR-ów nad gromadami, pobudzić ambicję robotników rolnych do tych zadań.

Ja nie krytykuję dyrektora Słowika. Ocenam jego wielką pracę gospodarczą (17 gospodarstw w kluczu). Ale dlatego mam prawo wystąpić z radą, która tej pracy może użyć, a zarazem jej wyniki pomnożyć. Trzeba tylko jedno zrozumieć, że to wspólna nasza praca, a nie samego PGR (i w jego tylko granicach). Dyrektor Słowik czuł się moją inicjatywą zaskoczony — tego tylko brakowało, żeby i chłopci jeszcze się „nterowali” PGR? Rzeczywiście, tego brakuje i to jest źle.

Wacław Kosubcki

TADEUSZ SŁUPECKI

Przynieśli kulturę...

KIEDY w gromadzie Okup Wielki (gm. Pruszków, pow. Łask) po raz pierwszy zawarzał motor samochodowy, którym przyjechała ekipa łączności miasta ze wsią z Wytwórni Sprzętu Mechanicznego w Łodzi — miejscowi chłopci patrzyli na jej przyjazd niewyfnymi oczami. Była to pierwsza tego rodzaju impreza w ich gromadzie.

— Ee, diabli nam tu nadali tych pierońskich faktorów z miasta! Powiadali w Łaskach, że takie, to aby po chatupach tazić lubią i do garów ludzom zaglądać, niby co kto na obiad pitrasii... Muszą z nich być jakieś wywiadowce nowych podatków, przyłoż, zobaczenie

— Ii, tam! Jakie z nich wywiadowce... — tłumaczył aktywniejszy z tamtejszej spółdzielni produkcyjnej. — Ot, robociarze z Łodzi, którzy pragną bliżej poznać się z naszym życiem i sprawami, pomóc w potrzebie radą, poweselić się z nami, pospiewać...

— A no, to niech ta już nam pospiewają — zgodzili się po namyśle chłopci. — Byle tylko nosa do garków i naszych spraw nie pchali...

Ale metalowcy z ekipy WSM potrafil dawać radę nie tylko żelaza w swej fabryce — umieli także poradzić sobie z pozostałą po czasach kapitalistycznych „chłopską” nieufnością wobec „obcych” przybywców z miasta. Mieli własną orkiestrę i zespół artystyczny, urządzili więc na zakończenie swej wizyty także potańcówkę z recytowaniem wierszy i śpiewem piosenek przy okazji, że chłopci, którzy zawsze żyli odczuwali niedostatek życia kulturalnego na wsi — nabrali jakoś z miejsca więcej przekonania do ekipy. I tak zaczęła się długotrwała przyjaźń łódzkiej metalowców z chłopami z Okupu. Przyjaźń, która niejedno zmieniła tam na lepsze.

A było co zmieniać. Okup Wielki, choć leży parę zaledwie kilometrów za Łaskiem w woj. łódzkim przy pięknej drodze do Wrocławia, nie miał jakoś szczęścia do tzw. „wyższych czynników” ze szczebla powiatowego. Toteż czytelnictwo gazet było tu — jak to mówią — pod psem, w świetlicy — pajaki i pustka, żadnych imprez czy rozrywek, brak jakichkolwiek form szkolenia, brak biblioteki. Kolo Gospody — martwe, Kolo ZMP — śpiące, organizacja partyjna niemrawa i do tego jeszcze wieś podzielona na dwa obozy: na spółdzielców i chłopów indywidualnych. Słowem, wymarzony temat na współczesną powieść wiejską, ale nielatwy dla ekipy robotników.

Kiedy jej członkowie rozejrzeli się już trochę w sytuacji, dalejże klarować spółdzielcom, że nie wystarczy złożyć w gromadzie spółdzielni, a nawet mieć w niej niejedną rezultaty — trzeba także dbać o jej wzrost ilościowy, agitować wśród reszty. Ale spółdzielcy, których na 37 gospodarstw we wsi było 21, nie tylko „okłota Wojtek swoje:

— Co to my — kościelne dziady, czy jak, żebyśmy do nich jak po prośbie chodzili? Chcą, to niech sami do nas przyjdą. A i to jeszcze będziemy w nich wybierać jak w uległkach: dojrzały już do wspólnoty, czy jeszcze nie...

Jasne, że w takich warunkach chłopci indywidualni pomimo widocznych sukcesów spółdzielni produkcyjnej w Okupie Wielkim — nie bardzo kwapili się z prośbami o przyjęcie. Ostatecznie, każdemu z nich (kulaków tam nie ma) wiodło się lepiej niż kiedykolwiek i dzięki temu honor gospodarski grał w każdym bardzo żywo. Cóż na to ekipa?

Ekipa — jak wspominaliśmy — rozpoczęła swą pracę od urządzania imprez rozrywkowych, które gromadząc całą wieś w świetlicy przywracały jej w ten sposób naruszoną wskutek błędnej postawy spółdzielców jedność gromady, przynajmniej jedność jej kultural-

nego życia. Młodzi robotnicy-zetem-powcy zajęli się swymi kolegami ze wsi, robotnicy — Kolem Gospody i praca społeczna inaczej zaczęła w gromadzie „grać”. Narobiono urzawy pierwszymi gazetkami ściennymi, potem przywieziono z fabryki kilkadziesiąt książek, kilkadziesiąt ofiarował powiatowy zarząd ZSCh, część wreszcie dokupili sami chłopci i zaraz we wsi rozpoczęła pracę biblioteka, licząca ponad 200 powieści, broszur rolniczych i politycznych. Umiejętnymi rozmowami o poszczególnych książkach umiano rozbudzić w chłopach ciekawość czytania. A kto raz przeczytał taki np. „Zorany ugor” Szolochowa, ten na pewno już sięgnął po następne książki. Dyskusjami o polityce i budowlach planu 6-letniego wzmocniono chęć czytania gazet i czasopism. Rychto do rusej dawniej świetlicy zaczęli ściągac tłumnie snóldzielcy i gospodarze indywidualni, starsi i młodzież na dyskusje, gry i radio. Postarano się o przydział etatowej kierowniczkii świetlicy, która zadbała o jej estetyczny wygląd, o gazety i bibliotekę, o różne uroczystości i imprezy, o gromadzki zespół artystyczny...

Jednocześnie ekipa WSM potrafiła sobie wyrobić autorytet w innych dziedzinach życia chłopów z Okupu Wielkiego. Członkowie jej, z których niejeden początkowo myślał więcej o okazymym kupnie jakiej kury niż o właściwym celu swego przyjazdu na wieś — zasmakowali w swej pracy, zabierali coraz częściej głos na zebraniach gromadzkiej organizacji partyjnej, wspomagając jej swym robciańskim doświadczeniem, stali się rozjemcami w wielu sporach między chłopami indywidualnymi a spółdzielnią. Gdy spółdzielcy nie chcieli wyużyć swej mocami dawnemu fernalowi Glińskiemu, ponieważ ten w swoim czasie odmówił przystąpienia do nich — ekipa postarała się wytłumaczyć im niestusność tego stanowiska i Gliński młocarnie dostał, co bardziej go zbliżyło do spółdzielców niż dawne ich namowy. Podobnych wypadków było więcej. Dzięki takiej postawie ekipy oraz — czego oczywiście nie można pomijać — agitacji miejscowego aktywnego spółdzielczego w spółdzielni znaleźli się nawet tacy jej dawni przeciwnicy jak ojciec dawnego przewodniczącego spółdzielni, Jadowszczaka i obecny jej najjarliwszy zwolennik a zarazem przewodniczący — Tkaczyk.

Oczywiście, decydujący wpływ na to wywarła dobra gospodarka spółdzielni w Okupie (dniówka o-brachunkowa za ostatni rok wynosiła tam 30 zł). Niemniej jednak niemałą rolę w przyspieszeniu procesu dojrzewania świadomości politycznej tamtejszych chłopów odegrała pomoc ekipy robotniczej, której członkowie umieli rozbudzić w chłopach zainteresowanie książką, gazetą i życiem świetlicowym, potrafil im uplastyczyć pojęcie socjalizmu i sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Toteż gdy ekipa WSM została przed paru tygodniami skierowana do pracy w innej, słabszej politycznie i gospodarczo gromadzie — chłopci z Okupu Wielkiego nie mogli się pogodzić z myślą przerwania tak serdecznych już teraz więzów. I niejedni z tych, co kiedyś boczyl się na jej członków i co najwyżej pragnął jedynie, aby mu „pospiewali co drnaga niedziele” — teraz bęgnie za samochodem, wwożącym do Łodzi ekipę z jej ostatniej wizyty w Okupie, starając się przekrzywić dobrze sobie znany warkot motoru:

— Nie się nie bójta, kochani! Ze to koniec z naszą znajomością! Tak latowo was drugim nie damy! Będziemy się o was bić w powiecie, a jak trzeba, to i do województwa trafim!

Tadeusz Słupecki

Gazetka gminna

Jak w bajce...

Nie bardzo dawno temu, wczoraj zaledwie, był sobie chłop nazwiskiem Zieba S. Stanisław. Może zresztą żyje i dziś. Zieba rozwozi mleko z trzech gromad — Temienica, Grabków i Górzyn do mleczarni w Lubsku. A trzeba wam wiedzieć, że nie było to zwykłe mleko. Miało ono tę zdumiewającą właściwość, że mogło przysporzyć ludziom z gromad wiele zaszczepów, było to bowiem mleko specjalnie odwołone dla robotników.

Zieba czytywał po drodze rozmaite basnie. Zapewne dlatego bardzo się przejął historią Jasia i Malgosi. Odtąd też zaczęła go dręczyć straszliwa obawa, że może gdzieś zginać wraz z mlekiem, wozem i kontem. Dlatego to wzorem bajkowego rodniciusia począł wszędzie zostawiać po sobie ślady. Na drodze z Temienicy rozlewał po troszeczku mleko. Gromada spała wprawdzie na szary koniec w dosiach dla robotników, ale za to Zieba nie zginął. Droge z Grabkowa znaczył pokrywami, a nawet całym bałkami. Pewno, miał mił, sprząz się choć zniszczył, ale za to naszego Zieby wilki nie zjadły. Małe dzieci, zbierając po drodze blaszane naczynia wołały: Zieba dopiero co Jechał! Natomiast wzdłuż traktu Górzyn — Lubsk można było znaleźć części jego garberobu.

Wśród okolicznego ludu szerzył się już ostatnio pogłoski, że nie dlatego tak bajkowo zachowuje się Zieba, że basnie czytuje. Stanisław — jak wiecie gminna głosi — rozmiłował się w picie pewnego cwoawego plynu, który swoją czarno-dzięską 95-procentową mocą zamienia Ziebę w Jasia i Malgosię równocześnie. Ładna bajka! Byłaby może ładna, gdyby nie to, że jest niestety prawdziwa. Ja bowiem w Lubsku byłem, po drogach Zieby chodziłem, ślady po nim zbierałem, a com widział — napisałem.

Piotr Pięga

Racjonalizatorzy

Poruszyć energicznie głową, usprawnić pracę, oprzeć się o jakiś kolektyw przy jej wykonywaniu i można spokojnie spać, ręk sobie człowiek po łokcie nie urobi.

I rzeczywiście. Wystarczy tylko spojrzeć na ręce pracowników Agencji Pocztowej w Kszczonowie, pow. Pińczów aby się snadnie przekonać, że ani trochę nie leżmy. Co tu ukrywać — dobrali się tam ludzie jak w korcu maku — sami racjonalizatorzy.

Stanisław Grudziński — woźny, którego m ludowanie i wożenie paczek dało się porządnie we znaki, racjonalizował do gruntu technikę ich rozwożenia. Zaladował paczki na dzurawy wóz, połowę zgubił i osłanił w ten sposób niezwykły rezultat. Zna słodkie góry wala ludzi na piechotę po przesyłki. I teni przecież drogi! nadłożył i mleć paczkie niż czekać aż „urzędowo zginie”. No i pobielali Grudzińskiemu rączki.

Edward Grudziński — listonosz znany ze spekulacyjnego umysłu może i dla- miast żyćcy sobie tego by Obwodowy Urząd Pocztoowy spróbował nadać przez Kszczonów jakiś ważny list — jakas pilną paczkę. Dostrzeże wtedy swje własne kadry.

Jan Wichura

Kto wygra?

odabranych sal umieszczono worek z cebulą znak własności, także podszepnity przez „ziego”. Na tym się jednak moc czartowska skończyła. Diabeł bowiem — jak zapewne wiecie — może tylko niszczyć, likwidować, zamykać. Tak uczynił ze świetlicą i przedszkolem, a szkole doprowadził nad przepaść. Ale letników sprowadzić nie mógł, gdyż działalność pozytywną to nie jego resort.

Podobno jest jakiś święty niebieski, który się dobrze w administracjach pogręgowskich czuje — przypomniał sobie moie urzędnicze i zaważył go. Okazał się natchniętym w całej okazałości święty Biurokracy i z miejsca rozpoczął urzędowanie. Na podstawie akt z dwiema tonami odpisów ustanowił, że nie tylko 3 wspomniane ogniska kultury można usunąć z budynku, ale da się dzięki połączeniu 30 rozmaitych paragrafów zakwestionować prawo chłopów do korzystania ze słonca bez uprzedniego meldowania się w kierownictwie PGR.

Ala ruszyła równocześnie gromada do obrony przed diabłem i świętym. Wytknięto PGR, że nie gospodarował pięknego, wielkiego budynku podworskiego stojącego na pobliżej reszówce, że woli oparzyć się wszystkim gromadom dom. Zarzecz powołuje się przy tym na prawo nieznanie dotąd ani w niebie, ani w piekle, ani w niektórych administracjach PGR. To prawo nazywają w skrócie — ludową praworządność i gospodarskim stosunkiem do społecznego mienia. Kto wygra? Starsi powlewała, że diabeł i święty Co do nas stawiamy na gromadę, gdyż wiemy, iż prawo, na które się powołuje, znane jest w powiecie i województwie.

Jan Biegała

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROI Redaguje Komitet Adres administracji: Warszawa ul. Wiejska nr 12 tel. 1-52-50 Adres redakcji: Warszawa ul. Stawki 10 tel. 1-52-50 Tel.: Red. Nacz. 863-86 Tel. Redakcji: 87061, wewnętrzny 5, 73, 8. Warunki prenumeraty: 4,60 zł kwartalnie — 13,80 zł półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 52,20 zł Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze RSW „PRASA” Warszawa Marszałkowska 3/5 4-B-14795